№ 19. Warszawa, dnia 9 Maja (27 Kwietnia) 1885 r. Rok V.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY" (wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2** k. **50**, rocznie rs. **10**.

Adres: Zielna Nr. 7-a.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych; w Petersburgu w Księgarni H. Glińskiego, Plac Kazański Nr. 7.
Sprzedaż pojedynczych numerów po kop. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 6 za wiersz lub jego miejsce.

Ukaz o języku.

Poprzednio już wspomnieliśmy w kronice o nowym Ukazie, dotyczącym szkół, który zaprowadza ważne zmiany w porządku mianowania nauczycieli i określa w sposób stanowczy kwestyę języka wykładowego. Obecnie podajemy dosłowny tekst ukazu, który nadaje sankcyę prawodawczą faktowi, nie od dziś już dokonanemu.

Gazeta *Nowosti* podała przed paru tygodniami takie objaśnienie nowego postanowienia.

W 1882 r. ówczesny generał-gubernator warszawski przedstawił memoryał, w którym twierdził, że wykład nauk w języku rosyjskim w szkołach elementarnych przedstawia wielkie trudności i że to jest główną przyczyną niedostatecznego rozpowszechnienia się oświaty. Kiedy jednak zażądano opinii od władzy naukowej, zdanie jej brzmiało wręcz przeciwnie. Ludność miejscowa ma bardzo chętnie uczyć się języka rosyjskiego, który jest potrzebnym jej w stosunkach z władzami, w sądzie i w służbie wojskowej; wykład zaś nauk po rosyjsku nie wymaga od uczących się usiłowań nadzwyczajnych.

Sprzeczność dwóch tych poglądów w następstwie została usuniętą, argumenty zaś władzy naukowej okazały się o tyle przekonywającymi, że nowy ukaz uświęcił na drodze prawodawczej te zapatrywania, które zresztą, jak nadmieniliśmy wyżej, wcielone były już w życie oddawna.

Oprócz tego zarząd szkolny w Królestwie sądzi, że gromady włościańskie nie posiadają żadnej kwalifikacyi dla oceny nauczyciela, oraz, że w rzeczywistości wybór prawie nie istnieje, zwykle bowiem gminy proszą dyrekcyi naukowej o wyznaczenie dla szkoły odpowiedniego kierownika.

Nie znajdujemy dotychczas uwag dzienników rosyjskich w tej sprawie, notujemy tylko, że *Nowosti* podzielają zupełnie wyżej streszczone poglądy władzy szkolnej w Królestwie. Dowodzenie powyższe okazało się słusznem i dla Rady państwa, która uchwaliła postanowienie zmieniające lub uzupełniające odnośne artykuły prawa o szkołach elementarnych w Królestwie Polskiem z d. 11 września 1864 r. Oto tekst tej uchwały.

1) Nauczyciele szkół początkowych miejskich, gminnych i wiejskich mianowani będą bezpośrednio przez naczelników dyrekcyj naukowych przeważnie z liczby osób, które skończyły kurs nauk w seminaryach nauczycielskich, w braku zaś takich kandydatów z pomiędzy osób, posiadających świadectwo na nauczyciela elementarnego. Nauczycielki mianowane będą tym samym trybem przeważnie z liczby osób posiadających dyplom na nauczycielkę elementarną, te zaś, które nie będą miały takiego świadectwa, podlegną egzaminom przez naczelników dyrekcyj naukowych.

2) We wszystkich szkołach wymienionych w artykule poprzednim wykład prowadzi się po rosyjsku, z wyjątkiem nauki religii wyznań obcych i języka rodowitego uczniów. Wątpliwości, które powstać mogą przy zastosowaniu, który język powinien być uznany jako wykładowy dwóch wymienionych przedmiotów, rozstrzygane będą przez kuratora okręgu naukowego po porozumieniu się z generał-gubernatorem warszawskim. W niektórych szkołach, wyszczególnionych w artykule 29 Najwyższego Ukazu z d. 11 września 1864 r. wykład odbywać się będzie na zasadach ogólnych.

W dniu 17 marca postanowienie powyższe Rady państwa Najjaśniejszy Pan zatwierdził i rozkazał wypełnić.

Z NIEMIEC.

Heidelberg, kwiecień, 1885.

Wiosna. — Wojna i pokój. — Jeszcze Hartmann. — Don Tomas Iriarte. — Shakespeare jest mitem. — Książki Meyera i Bayera. — Kazimirski. — Mickiewicz na Kaukazie. — Poezye Kościelskiego. — Profesor Esmarch. — Wiktor Hugo do Bismarka. — Warcin i Puttkamerowie.

Zeszłoroczny list mój z marca rozpoczynał się od doniesienia o przybyciu pięknych gości do naszego miasteczka: wiosny i cesarzowej austryackiej; dzisiejszy muszę taką samą wieścią inaugurować; różnica zachodzi tylko w miesiącu: obie panie spóźniły się nieco w tym roku.

Razem z bocianami i jaskółkami przywędrowały do nas ze wschodu niepokoje wojenne. Papiery procentowe spadają, a rubel nasz kurczy się jak barometr przed burzą. Godnem zanotowania jest wybitne anty-angielskie usposobienie większości dzienników niemieckich; nie mogą one zapomnieć świeżego zatargu kolonialnego z Anglią; wróżą jej klęskę, a zdaje się, że i życzą jej z całego serca. Mówię tu oczywiście o pismach mniej lub więcej rządowych lub rządowo usposobionych. Cieszą się one na nutę: dzięki Bogu, nie ja wiszę. Czy to skutkiem zręczności dyplomatów pruskich, czy słabości brytańskiej, udało się zażegnać burzę afrykańską, udało się oszczędzić miliony marek, któreby wojna pochłonęła; a że tam ich kilka poszło na kupno Schönhausenu, cóż to znaczy w po-

równaniu z secinami milionów, któreby kosztowała wojna. Tymczasem można spokojnie pracować w domu, urządzać zjazdy gieograficzne, uroczystości muzyczne, wystawy kwiatowe, pisać i drukować książki, popierać „tępienie“ innoplemieńców i wyganiać sąsiadów z nadgranicznych prowincyj.

Herold i filozof „tępienia,“ pan Hartmann, nie nam jednym zaprzysiągł zagładę. Najwyższą niełaską swoją zaszczyca on wszystkich słabszych i bezbronnych, a przedewszystkiem kobiety i żydów. Wielbi tylko siłę i siebie. W nowej książce, którą świeżo ogłosił (*Philosophische Fragen der Gegenwart*, Lipsk, 1885), nic niema pilniejszego, jak obszernie opowiadać „losy filozofii *mojej* (tak!) w pierwszym lat jej dziesiątku;“ „stosunek *mój* do Schopenhauera“ itd. Chce mu się widocznie spróbować na sobie recepty pewnego polityka francuskiego: pour avoir raison, il faut crier fort et longtemps (chcąc przekonać, trzeba krzyczeć głośno i długo). Dotychczas jakoś mu się nie wiedzie, pomimo niepraktykowaną w dziejach literatury reklamę.

Don Tomas Iriarte żył za czasów nieudoskonalonej reklamy, to też mało kto wie o nim. Zresztą te jego utwory, które poznać warto, nie potrzebują sztucznego rozgłosu bo same siebie chwalą. Właśnie mam przed oczyma tomik jego tak zwanych „Bajek literackich,“ w przekładzie niemieckim (*Literarische Fabeln*, przekład Speiera, Berlin, 1885). Są to zwykłe apologi tak zwane zwierzęce, tem się od innych różniące, że zawierają satyrę i napomnienie tylko dla literatów lub chcących za takich uchodzić. W Hiszpanii bajki te Iriarta są bardzo popularne: w szkołach wszyscy się ich uczą na pamięć, a później, w mowie i piśmie bardzo często do nich robią alluzye, tak iż nieznając ucinków Iriarta, nieraz niepodobna zrozumieć mówcy lub pisarza hiszpańskiego. Aby dać o nich wyobrażenie, podaję jeden, w myśli, że może ktoś, umiejący po hiszpańsku, da się zachęcić do wzbogacenia piśmiennictwa naszego dobrym wierszowanym przekładem tych apologów, zgoła u nas nieznanych. Bajka n. 67 (wszystkich jest 75) nosi tytuł „Żmija i pijawka.“ Tekst jej jest następny.

„Chytra żmija mówi raz do dobrodusznej pijawki: kąsamy obie; czemuż człowiek pozwala się ssać tobie, a mojego żądła tak stroni? Na to pijawka: moja kochana, dlatego, że kąsamy niejednako; ja, koląc chorych, życie im przywracam, a ty, choć zdrowych kąsasz, śmierć im zadajesz. Otóż pomyśl czytelniku, ilu to ludzi na świecie krytykuje, ale jaka różnica w krytyce gdy ją pisze jadowita żmija, a dobroczynna pijawka.“

Iriarte urodził się na Teneryfie; umarł młodo w r. 1791; przełożył wielu pisarzy łacińskich na swój język ojczysty.

Sprawa autorstwa dramatów i poezyj Shakespeara posuwa się naprzód i to w kierunku przeczącym. Dobre wyobrażenie o jej przebiegu i stanie daje nowoprzełożona z języka angielskiego książka uczonego prawnika amerykańskiego Appletona Morgana *Der Shakespeare-Mythus*, Lipsk 1885). Ciekawszą jest ona od oryginału, a to dlatego, że autor nadesłał tłomaczowi niemieckiemu sporo dodatków, doprowadzających kwestyę aż po rok bieżący, z czego się utworzył cały rozdział ostatni, siódmy.

Tłomacz, Müller-Mylius ze Sztudgartu, opowiada, że w 1843 słynny naówczas Gfrörer w te słowa się raz odezwał do otaczającej go młodzieży: „Możecie sobie śmiać się ze mnie, ale powiadam wam z najgłębszego przekonania: za lat pięćdziesiąt nikt z ukształconych a myślących ludzi nie zechce wierzyć, aby rzeźniczek Wilhelm Shakespeare ze Stratfordu nad Avonem miał być autorem niezrównanych sonetów, dramatów i komedyj; wiara w istnienie poety Shakespeara zniknie tak, jak dziś już upadła w mniemanego barda Ossyana.“

Zresztą w Anglii podnoszono wątpliwości tego rodzaju już w przeszłym wieku. Obecnie, według obliczenia amerykanina Wymana, po rok 1882 literatura zaprzeczająca, wątpiąca, lub apologietycza w tym przedmiocie urosła do ilości 255 książek, broszur i artykułów. Z tej liczby 73 stanowczo zaprzecza autorstwa Shakespeara, 65 traktuje rzecz sceptycznie, a 117 broni dotychczasowego poglądu. Trudno jest już dzisiaj dowodzić, *że jedna osoba* wszystko to napisała, co zwykle Shakespearowi przypisujemy; tyle różnic się wykazało pomiędzy dramatami, komedyami a sonetami, a nawet pomiędzy jednym a drugim dramatem, jedną a drugą komedyą itd., że postać Shakespeara, jak Homerowa, powoli w mit się ulatnia. Ale na pytanie: któż tedy jest autorem tych wspaniałych utworów, nie zdołano dać jeszcze zaspokajającej odpowiedzi. Wielu myśli, że część dramatów napisał Bacon. Potrzeba czasu, aby się zagadnienie wyjaśniło, a przedewszystkiem spokojności i przedmiotowości w rozwiązywaniu jego. Książka Morgana, napisana z niepospolitą erudycyą i wielkim spokojem, wtajemnicza czytelnika w cały przebieg kontrowersyi. Autor zaprzecza autorstwa, ale na pytanie, kto i ilu mają zająć miejsce Shakespeara, nie daje stanowczej odpowiedzi.

Z innych nowości książkowych wymieniam kilka jeszcze, o których dokładniejsze pojęcie wyrobić sobie zdołałem. Profesor w Gradcu, Gustaw Meyer, autor najlepszej dotychczas i podług najnowszych wymagań językoznawstwa porównawczego ułożonej gram..tyki greckiej, ogłosił świeżo zbiór zajmujących swych studyów językowych i mitologiczno-ludoznawczych. Rozprawki o ludzie pierwotnym aryjskim, o śladach słowiańskich w Grecyi, o Amorze i Psysze, o podaniach południowo-słowiańskich i o poezyi nowogreckiej zdolne są zająć szersze koła czytelników (*Essays und Studien zur Sprachgeschichte und Wolkskunde*, Berlin, 1885).

Pod przybranem nazwiskiem von Bayera, jedna z księżniczek bawarskich ogłosiła swe wrażenia z podróży po Rosyi (*Reiseeindrücke und Skizzen aus Russland*, Sztudgard, 1885); odbyła ją incognito i prędko. Pracowała, jak powiada w przedmowie, dziesięć lat nad poznaniem języka i literatury rosyjskiej; podróżowała *cztery tygodnie;* przemknęła się przez Polskę do Moskwy, Petersburga, Niższego-Nowogrodu, płynęła Wołgą, przebiegła ziemię kozaków dońskich, stepy kałmuckie, widziała morze azowskie, Krym, Odesę, Kijów, Kraków, a potem dwa lata spisywała wrażenia swoje i uszczęśliwiła publiczność sporym tomem o 600 stronnicach, dwu mapach i kilku rysunkach. Zdaje mi się, że wycieczka w takich warunkach odbyta i opisana należyć będzie do ciekawości kulturno-historycznych. Trzeba być niemcem, albo przynajmniej niemką, ażeby się tak urządzać, jak ta wysoco urodzona turystka! Każdy inny człowiek czytałby dwa lata, podróżował dziesięć, a pisałby o tem kilka tygodni i wtenczas rzeczywiście wrażenia jego zasługiwałyby na uwagę. Ale kto w ciągu niespełna miesiąca obleci olbrzymie terytoryum, z okien wagonu popatrzy na ludzi, a z wierzchołka wieży na miasta i wypisuje potem stanowcze sądy o charakterze różnoplemiennej i różnojęzykowej ludności, o jej stanie społecznym, politycznym, moralnym, naukowym itd., ten albo jest naiwnym, albo zuchwałym.

---

2)

OGNISKO DOMOWE.

Kiedym się w domu położył do łóżka, szczęśliwy i rozmarzony, jakbym stanął już przy źródle rozkoszy, najsłodsze sny i zjawiska towarzyszyły mi aż do białego dnia, tak, żem powstawszy, nie wiedział, czym spał tej nocy, czy całą przepędził na jawie.

Ale promienie słońca mają dziwną moc oprzytomnienia człowieka. Po tej majaczącej nocy, zaledwiem się ubrał i wypił szklankę herbaty, zrobiłem się nagle trzeźwy i przytomny. Rozum podsunął mi niczem niezbite racye, że ta uwertura miłości była tylko chwilowym szałem, że wczorajsza znajomość jak niespodziewanie się zaczęła, tak się i prędko skończyć może, że mię do niczego nie doprowadzi, skoro nie wiem, kto jest moja nieznajoma, gdzie mieszka, gdzieby się można o niej dowiedzieć itd. itd.

Wybiłem sobie więc niedługo moją miłość z głowy, jako rzecz niemożebną i niepodobną do osiągnięcia. Czasami jednak, niespodziewanie, nie wiedzieć skąd, piękna brunetka o aksamitnem, kuszącem spojrzeniu stawała mi przed oczami. Zdarzało się to najczęściej, kiedym w samotnym swym pokoju, spragniony więcej niż kiedyindziej ziemskiej ambrozyi, mocował się w głębi serca z potężnym szatanem miłości. Wtedy także mimowiednie, nawpół bolesny, nawpół rozkoszny, wyrywał się z moich piersi wykrzyk:

— Ah, gdyby ta kobieta była moją!..

I byłem wtedy zły na świat i siebie, że oprócz niepochwytnego jej obrazu na moim mózgu, nic więcej z niej nie posiadałem.

Upłynęło parę miesięcy. W najpiękniejszym okresie ożywionego wówczas bardzo karnawału, zostałem zaproszony na wieczór tańcujący do państwa X. Był to dom znany bardzo w całem mieście, dom gościnny i otwarty, przez który w ciągu roku przepływało najmniej połowę Warszawy. Co było kobiet piękniejszych, co między mężczyznami wystrzeliło nad poziom lub choćby na chwilkę czemś zabłysnęło, czy w literaturze, czy w sztuce, wszystko tam się znalazło, choćby razjeden, choćby przelotem jak ptak wędrowny.

Byłem owego wieczoru w dobrym humorze jak rzadko. Lekki, swobodny, nieczujący w duszy ani żadnej troski, ani żadnej przygnębiającej namiętności, byłem gotów bawić się jak dziecko, całem sercem, z zapomnieniem wszystkiego, bez innego celu prócz zabawy. Wśród gwaru, rozmów i śmiechów tłumnie zgromadzonych gości, w którym, zawsze nic więcej się nie słyszy, tylko głos podobny do szumu fal, lub stłumionego, urywanego rytmu muzycznego; przy niewyraźnych akordach muzyki głuszonej przez głosy rozmawiających i stukanie tańczących; wśród atmosfery rozmarzającej wyziewami kwiatów, zapachem perfum i ciepłem, jakie się wywiązuje z działającego narkotycznie na nerwy sztucznego oświetlenia — przypatrywałem się śnieżnym ramionom, łabędziowo zginającym się szyjom i nóżkom suwającym się po posadzce tak lekko, jakby do Elfów należały, z tem spokojnem uczuciem i zadowolnieniem amatora kwiatów, któremu wystarcza podziwiać ich barwy i upajać się ich wonią na ogrodowym krzaku, ale któremu ani przez myśl nie przejdzie, aby którykolwiek z tych pięknych tworów natury zerwać, wziąć w rękę i nasycając nim niepomiarkowane pragnienie swych zmysłów, na prędkie zwiędnięcie go skazać.

— Pan nie tańczysz? — zawołał za mną znany mi głos kobiety w chwili, gdy pierwsze takty przegrywki kadrylowej się odezwały.

Odwróciłem się, i w istocie spostrzegłem przed sobą pannę Wandę, kuzynkę

W książce pana B. znajdujemy mnóstwo dowodów tego założenia: spostrzeżenia prawdziwie dziecinne, albo takie, co to się nazywają zrobionemi przez dziurkę od klucza, przewijają się jak pajęczyna, wśród ogromnego bagażu wiadomości elementarnych ze statystyki, geografii i historyi, zaczerpniętych z podręczników Iłowajskiego, Tęgoborskiego itd., z cudzych podróży, np. Wallace'a, Leroy-Beaulieu'go, z katalogów wystaw przemysłowych i... Bädekera. Odrzuciwszy dziewiętnaście dwudziestych na ekscerpta tego rodzaju, jedną dwudziestą część wypełniają takie np. głębokie spostrzeżenia osobiste, jak, że damy polskie mają włosy ciemne, a służące jasne; że nosy pań naszych są przeciwieństwem orlich; że język polski, o ile kilka słów jego udało się dosłyszeć na dworcu kolei w Krakowie, dość jest podobnym do rosyjskiego; że szlachta podolska traktuje żydów jak psów: że domy w Warszawie są nizkie itd. itd. Nie przeszkadza to jednak, że referenci i recenzenci, zwietrzywszy wysokie stanowisko autorki, okadzają pracę jej pochlebstwami, zachwycają się stylem i uczonością „der hohen Verfasserin.“ I znowu tedy do oceanu bibuły niemieckiej, opisującej Rosyę, wpłynie mętny strumyczek pustego bajania; prawda nie skorzysta zeń ani źdźbła, ale też i nic nie straci, bo i któż weźmie na seryo tego rodzaju opisy. Gdyby głos mój doszedł do wysokich uszu księżniczki Teresy, tobym jej powtórzył to, co królowej Wiktoryi napisał wiernopoddańczy referent o jej niedawno ogłoszonym dzienniczku: Dziękujemy jasnej pani za obdarzenie nas swoimi pamiętnikami; ale stałoby się lepiej i dla Ciebie i dla nas, gdybyś je zachowała w biurku.

Stary nasz wschodoznawca Kazimirski, autor powszechnie u nas używanego słownika francusko-polskiego, tłomacz Koranu, przysłużył się niedawno literaturze francuskiej ogromnem dziełem, które znawcy wielkiemi pochwałami obsypują. Są to rozmowy francusko-perskie, z gramatyką i słownikiem, przeszło tysiąc stron w ósemce. Vos non vobis!

Poezye Mickiewicza zdobywają sobie zwolenników bardzo daleko, za śnieżnym Kaukazem. Niejaki Leist, pisząc stamtąd do jednego z tygodników niemieckich o postępach piśmiennictwa gruzińskiego i ormiańskiego, powiada, że zmarły niedawno dramaturg gruziński, książę Grzegorz Eristawi, przełożył dużo wierszy naszego poety; obecnie wychodzi drugie wydanie dzieł tego tłomacza.

W nieprzychylnej nam skądinąd *Gegenwart*, czytaliśmy świeżo artykuł o poezyach Kościelskiego, przyznający wieszczowi „der Polenfraction“ sejmu berlińskiego niepospolity talent; autor artykułu zamieścił wcale dobry przekład kilku udatniejszych wierszy naszego poety.

Wybaczy mi czytelnik, że bez przygotowania skoczę z Parnasu na padoł ziemski i wskażę mu cały zastęp dziatwy naszej, który, skutkiem nieodpowiedniego urządzenia ławek i stołów do pisania, coraz to dotkliwsze straty na zdrowiu ponosi. Pokrzywione plecy, garby, krótkowzroczność, wklęsłość piersi, oto cały szereg kalectw i dolegliwości, wynikających z nieposzanowania najprostszych wymagań hygieny. Ławki nasze szkolne a szczególnie domowe krzesełka i stoły, najczęściej okrągło, są źródłem nieobliczonych szkód organizmu. Tak łatwoby było temu zaradzić, ale właśnie tak się dziwnie dzieje na świecie, że najprostsze prawdy najtrudniej w życiu się zastosowują. Myśli te nasunęła mi broszura, a raczej pisemko ulotne, bo z dwóch tylko stron druku złożone, noszące na sobie imię pierwszorzędnego chirurga niemieckiego, Esmarcha. Z powodu wielkiej ważności przedmiotu, znajdując we wskazówkach tych proste i jasne rozwiązanie zagadnienia, nie waham się całą rzecz podać tu w dosłownym przekładzie, licząc na uprzejmość redakcyi *Prawdy*, iż nie pożałuje trudu na powtórzenie rysunków wyjaśniających *).

„Nauka o siedzeniu uczącej się dziatwy“ (*Zur Belehrung über das Sitzen der Schulkinder*, Kiel, 1884) takie podaje rady „nauczycielom i rodzicom dzieci garbiących się i krótkim wzrokiem zagrożonych:“

„Skrzywienie grzbietu i krótkowzroczność dziatwy wynika z nieprostego siedzenia na złych, staroświeckich ławkach.

Dzieci siedzą nieprosto, gdy ławka za daleko stoi od stołu, jest względem niego za nizką i ma oparcie nieodpowiednie (fig. 1 2).

Ławka przeto wtedy tylko nie jest zdrowiu szkodliwą, kiedy dziecko, przy czytaniu i pisaniu, prosto siedzieć *musi* i przez czas dłuższy bez znużenia siedzieć tak *może*.

*) Zrobilibyśmy to chętnie, ale pismo nasze ilustracyi podawać nie może. *Red.*

Dla dopięcia tego, należy:

1, aby deska, na której się siedzi, tyle była oddaloną od oparcia nóg (to jest od podłogi, lub też od podnóżka, jeżeli takowy jest), ile noga siedzącego ma długości od przegubu kolanowego do podeszwy.

2, aby deska siedzeniowa tyle miała szerokości, ile ma długości udo, od przegubu kolanowego do grzbietu.

3, aby zaokrąglona przednia krawędź siedzenia była o 2 do 3 centym. naprzód wysunięta od brzegu stolika czyli pulpitu.

4, aby siedzenie tyle było wysokiem, iżby dziecko podczas pisania mogło wygodnie opierać ręce (od łokcia do pięści) na stoliku, bez podnoszenia ramion i pochylania głowy i grzbietu (fig. 3 i 4).

5, aby dolna część grzbietu podczas czytania dostatecznie miała oparcie.

Ponieważ ze wzrostem dziatwy stosunki te się zmieniają, trzeba więc przynajmniej co pół roku powtarzać mierzenie i według tego ławki zmieniać.“

Z morza panegiryków na urodziny księcia kanclerza oraz wiernego Tyrasa, wydostię jeden tylko koncept: list Wiktora Hugo, sfabrykowany w redakcyi jednego z dzienników wejmarskich. Autor nieźle trafił w manierę poety francuskiego i ubawił publiczność, znużoną wylewami uczuć na urząd wygłaszanych.

Wiktor Hugo do Ottona Bismarka.

„Olbrzym olbrzymowi pozdrowienie szle. Wróg wrogowi, przyjaciel przyjacielowi. Nienawidzę Cię śmiertelnie, boś poniżył Francyę. Kocham Cię, bom większy od Ciebie. Milczałeś, gdy zegar na wieży mej sławy wybił ośmdziesiątą rocznicę. Ja zaś przemawiam, bo zrabowany zegar stojący, na Twym stoliku wzbrania się wydzwonić Ci siedmdziesiątą. Ja 80, Ty 70, ja 8, ty 7, a ludzkość obok jako zero. Gdybyśmy my dwaj jedną byli istotą, dzieje powszechne zawarłyby się na zawsze. Ty— ciało, ja—duch, Ty—chmura, ja—piorun, ty—potęga, ja—sława. Kto jest wyższym, zwycięzca czy zwyciężony? Żaden z nich. Od obu wyższy wieszcz, który ich opiewa. Jakimi poeta uczyni wielkich ludzi, takimi są, Czem sami siebie uczynią, tem się wydają. Ale Tyś wielki, bo nie znasz trwogi, podaję Ci więc, ja wieszcz, Tobie, wielkiemu człowiekowi, prawicę. Francya drży, Niemcy drżą, Europa drży, drży świat. My tylko dwaj wielcy, samotni. Ja dam znak, Ty dasz znak, a wielkie

---

gospodarstwa, dziewczynę żywą jak płomień, ekscentryczną zawsze w swych poglądach i pomysłach i dobrą, choćby na ranę przyłóż.

Nim miałem czas coś odrzec, z miny mojej domyśliła się odpowiedzi i chwytając mię za rękę:

— Pójdź pan — rzekła — przedstawię pana bardzo ładnej kobiecie. Dopiero co przyszła — będziesz mi pan wdzięczny; ja wiem, co się panu podoba.

Jak dwoje pływaków przerzynaliśmy się chwilę przez ruchome fale grupujących się do tańca par, i przez kaskady jedwabnych i bareżowych „trenów,“ które we wszystkich kolorach tęczy z figur tancerek spływały na posadzkę. Panna Wanda przyprowadziła mię przed kobietę siedzącą na krześle ze zwieszoną nieco głową, której jedna ręka zajęta była właśnie poprawianiem fałdów jej gazowego ubrania na sukni.

Gdyśmy stanęli przed nią, podniosła głowę.

Była to moja nieznajoma z teatru.

Równocześnie utkwiliśmy swoje spojrzenia w sobie.

Gdym ujrzał tę twarz rozjaśnioną słodkim uśmiechem, ten biust godny Junony, połyskujący jak atłas i krwią młodości tętniący, gdym ujrzał ją spowitą w jedwabne i muślinowe zwoje sukni, wydała mi się niby stulistną różą, gdy ułożywszy się na szmaragdowym liściu, wygrzewa się rozkosznie w promieniach czerwcowego słońca.

W czasie kiedy panna Wanda odmawiała sakramentalne słowa prezentacyi, my oboje, nieruchomie, nie skinąwszy głową, nie ruszywszy do najmniejszego szmeru ustami, patrzyliśmy w siebie z tym uśmiechem szczęścia w oczach, który zwykle towarzyszy niespodziewanemu a przyjemnemu spotkaniu.

Jak w książce czytałem we wzroku pani Zofii... (teraz znane mi już było jej nazwisko).

— Cieszę się z tego spotkania — mówił mi ten wzrok — widzę, że mnie poznałeś, a więc musiałeś pamiętać. Ja także ciebie poznałam. Jak to rzecz zabawna, że ktoś nas sobie nawzajem przedstawia, nas co już dawno i tak dobrze się znamy.

Że oczy moje rozpłomienione, upojone rozkosznym widokiem, mniej od jej oczów nie mówiły, o tem nie wątpię, i łaskawy mój czytelnik łatwo temu uwierzy.

Zanim sześć figur kadryla przeminęło, byliśmy już ze sobą jak dawni znajomi. Nietylko ona wiedziała, że jestem w niej zakochany, nietylko ja przyszedłem do tego przekonania, że mogę się spodziewać wzajemności, ale nawet głośno, wprawdzie przez rozmaite półsłówka i aluzye, prawie porozumieliśmy się w tej mierze ze sobą. Naturalnie spotkanie w teatrze było dla nas pierwszym punktem wyjścia i tym kłębkiem, na który uwijały się dalej coraz wyraźniejsze wynurzania i wyznania.

— Ah! muszę pana zapoznać z moim mężem — odezwała się nagle, spoglądając w bok, gdym ją po skończeniu tańca odprowadzał na miejsce. Zwróciłem oczy w kierunku skinienia, które w tej chwili zrobiła, i zobaczyłem, że na ten znak, mężczyzna, idący właśnie w naszą stronę, przyśpieszył nieco kroku, i przeciskając się zręcznie przez pary tancerzy wracające na miejsce, niedługo stanął przed nami.

Jego widok przypomniał mi odrazu sylwetkę owego jegomości, która mignęła mi się na chwilę w teatrze.

Byłto mężczyzna najmniej lat pięćdziesięciu, dość niski, dobrze zbudowany. Włosy miał gęsto przypruszone siwizną, twarz jednak czerstwą i pogodną. Z mojego stanowiska wychodząc, nie mogłem go sądzić łaskawie, mimo to musiałem przyznać, że rysy ma inteligentne, oczy bystre i rozumne i że pewna dobroduszność, rozlana po jego twarzy, nie nadawała jej wyrazu pospolitości, wzbudzającej mimowolne lekceważenie, tak dalece mięszała się z tą do-

przymierze i wieczny pokój ludów przypieczętujemy. Żegnaj.“ *).

Przy sposobności wiekopomnych tych urodzin, pisma ilustrowane zamieszczały rysunki i szczegółowe opisy Warcina. Otóż godną uwagi jest rzeczą, że w starem tem gnieździe pomorskiem, wszystkie nazwy miejscowości: wsi, łąk, lasów i wód, wybitny typ polsko słowiański przechowały; jedna sadzawka nawet nosi miano „Stavischken,“ wyraźne „Stawisko.“ I to jeszcze dodać należy, z powodu związku rodzinnego Bismarków z Puttkamerami (a wiadomostka ta bliżej nas obchodzi ze względu na Marylę Mickiewicza), że ostatni ród ten jest polskiego pochodzenia: nazwisko Puttkamer jest przekształceniem wyrazu *podkomorzy* i brzmiało dawniej Podkomer, Puttkamer, Podkamer (A. Heintze, *Die deutschen Familiennamen*, Hala, 1882, str. 187).

Jan Karłowicz.

*) Podobno wszakże najdowcipniejsza jest świeżo usnuta anegdota, że jakiś biedny kelner zapisał się na listę z 20 markami, a gdy jednocześnie podał prośbę o zapomogę dobroczynną, zapytano go, czemu tak wielką zaofiarował sumę, odrzekł: „Ja jej nie zapłacę, tylko odsiedzę.“ *Red.*

Dwa skandale.

Lwów, maj.

I.

Lwów ma szczęście do... błota. W ciągu ostatnich kilku tygodni zadziergnęły się tu dwie sprawy, obchodzące żywo sfery literackie, obie, niestety, z podkładem wielce skandalicznym. Echo ich doszło już do was za pośrednictwem gazet codziennych, lecz czy z niem razem i wszystko to, co wszechstronnie należało wyświecić, ażeby rzetelna prawda wyszła na jaw? Nie zdaje mi się i dla tego zabieram głos, ażeby wam podać szczegóły, zaczerpnięte u źródła.

Jedna z nich, zwana *sprawa Lama*, oparła się już dwukrotnie o kratki sądowe. Wywołał ją artykuł Gniewosza, jak zawsze wszystkowiedzącego. W jednym z tegorocznych numerów *Sztandaru* w artykule p. t. „Jak wyglądają reklamy *Dziennika polskiego*“ zarzucił on znanemu wydawcy Gubrynowiczowi, że „naszedł chorego Lama krytym sztychem w chwili nieprzytomności, spowodowanej chorobą i bez wiedzy rodziny za bezcen wyzyskał jego talent i pracę“ a wydawcy *Dziennika polskiego* p. Michałowi Sawickiemu, że również wyzyskuje genialnego (sic!) dziennikarza i autora.

Artykuł Gniewosza nie przeszedł bez wrażenia, tem bardziej, że podane przez niego szczegóły miały za sobą wszelkie pozory prawdy a osoby, przeciw którym cios był wymierzony, ogólną sympatyą się nie cieszyły...

P. Gubrynowicz uznał za stosowne bronić swej czci i pociągnął Gniewosza przed kratki sądu kryminalnego. Oskarżony oświadczył, że czuje się niewinnym i dowodzie prawdy swych twierdzeń: „Z Lamem— mówił—żył zawsze dobrze, chociaż nieraz z nim polemizował. Stosunki te przerwały się dopiero w czasie choroby Lama, kiedy tenże już prawie nikogo nie widywał a informacye swe czerpał od Frylinga wrogo przeciw oskarżonemu usposobionego. Mimo to nie żywił Gniewosz niechęci przeciw Lamowi i skoro tylko się dowiedział, jak Gubrynowicz i Sawicki go wyzyskują, postanowił wystąpić przeciw nim, bo żal mu się zrobiło człowieka i bo trzeba było raz napiętnować wyzyskiwanie nędzy pod płaszczem patryotnictwa“. Wyraził w końcu zdziwienie, że Gubrynowicz nigdy dawniej go nie skarżył, kiedy przeciw niemu daleko gwałtowniej występował, jak np. w sprawie nadużyć przy sprzedaży wydawnictw *Macierzy* a ostatnim razem w takiej że sprawie przy sprzedaży wydawnictwa *Na pomoc*, na korzyść dotkniętych powodzią.

Nastąpiło przesłuchanie świadków. Ważne były zeznania p. Henryka Lama, brata stryjecznego Jana. Oświadczył on wyraźnie, że w czasie dwa lata już trwającej choroby Jan Lam często nie był przytomnym a tem mniej zdolnym do zawarcia umowy i do ocenienia, czy ona dla niego jest korzystną lub nie. O układach przedwstępnych między Gubrynowiczem a Lamem świadek nic nie wiedział i tylko przypadkowo był obecny w chwili ostatecznego podpisania kontraktu. Wtedy po odejściu Gubrynowicza powiedział mu brat, że sprzedał swoje dzieła i że spodziewa się z tego kilku tysięcy zł. zysku; Henryk nie pytał o szczegóły, nie chcąc go drażnić. Później dopiero dowiedział się o wszystkiem i w imieniu brata udawał się raz w tej sprawie do Gubrynowicza. Układ z ostatnim uważa on za *chwilowo* korzystny dla brata żyjącego, ale za bezwzględnie niekorzystny dla rodziny na wypadek śmierci Lama, bo nie oznaczono w nim ani ilości egzemplarzy, ani czasu trwania umowy a nadto wyrażono ogólnikowo, że przedmiotem układu są powieści Lama bez względu na to, co on mógł posiadać w rękopisie.

Dla wyjaśnienia tego punktu odczytano listy stanowiące umowę. W pierwszym proponuje Lam firmie Gubrynowicz i Schmidt wydanie wszystkich swoich dzieł za połowę czystego zysku, z góry, jako zaliczkę, ma otrzymać weksel na 500 zł., której to sumy nie jest on obowiązany zwrócić wydawcom nawet w razie straty; weksel zaś firma sama w terminie wykupi. W drugim liście godzą się pp. Gubrynowicz i Schmidt na ową propozycyę i określają nadto termin obrachunku, wysokość nakładu itp., co Lam w trzecim liście zatwierdził.

Drugi świadek p. Zygmunt Fryling, żyjący w ścisłej zażyłości z Lamem, dowiedział się od niego o układzie z Gubrynowiczem również po dokonanym fakcie, a Lam przedstawiał mu całą umowę jako wielce dla siebie korzystną. Świadek nie poruszał następnie tego przedmiotu w rozmowach z Janem Lamem na prośbę Henryka, który obawiał się, ażeby to nie zaszkodziło bratu w chwili, gdy i tak choroba jego groźny przybrała obrót. Dopiero przed samym procesem (choremu było już lepiej) Lam oświadczył, że Gniewosz niesłusznie napadł Gubrynowicza. Na zapytanie świadka, dla czego w takim razie nie sprostował artykułu, Lam odpowiedział: „Zarzuty Gniewosza co do Gubrynowicza są niesłuszne, w tym samym jednakże artykule zaatakował i Sawickiego. Zarzuty czynione temu ostatnieniu nie tylko polegają na prawdzie, ale ją wyczerpują tylko do połowy. Gdybym był prostował zarzuty przeciw Gubrynowiczowi a nie zaprzeczył czynionym w tym samym artykule Sawickiemu, to każdy byłby zrozumiał, że to ostatnie, pominięte przezemnie milczeniem, są słuszne. Nie mogłem więc tego zrobić ze względu na stosunek, jaki mnie wiążę jeszcze z Sawickim, jako wydawcą *Dziennika pol.*“.

Z zeznań innych świadków zasługuje na uwagę jedynie opinia d-ra Widmana, który bardzo troskliwie i umiejętnie leczy Lama. Ten oświadczył pod przysięgą z całą stanowczością, że skutkiem długiej i cię-

---

brodusznością niezaprzeczona szlachetność w jego fizyognomii.

— A więc to jej mąż! — pomyślałem sobie mierząc ironicznie od stóp do głowy tego siwego człowieka we fraku, zestarannie wygoloną twarzą, w białym krawacie, tak skwapliwie zdążającego ku nam na skinienie kobiety, z którą dopiero co zamieniałem miłosne wyrazy.

— Biedny mężu! — mówiłem sobie dalej—żal mi cię bardzo, ale niestety! musisz być i będziesz moją ofiarą.

I zaśmiałem się w duszy śmiechem Mefistofelesa.

To, co w sobie czułem i myślałem, nie przeszkodziło mi bynajmniej powitać męża mojej ukochanej w masce towarzyskiej obłudy tak często w życiu praktykowanej. Poważne pochylenie głowy miało mu okazać mój szacunek, a długie, silne uściśnienie podanej dłoni—być dowodem moich przyjacielskich uczuć.

Powiedzieliśmy sobie nawzajem parę owych salonowych grzeczności, będących w zwyczaju między mężczyznami, którzy dali się poznać na jakiejkolwiek arenie publicznej, co dla mnie tem łatwiejszą było rzeczą, że nazwisko biednego męża znane mi było bardzo dobrze, jako należące do artysty-muzyka, cenionego dla swego talentu i gruntownej teoretycznej wiedzy. Rozmowa przeszła następnie w swobodną i ożywioną pogadankę, w ciągu której śmieliśmy się i żartowali bez końca. Mąż pani Zofii posiadał wiele znajomości świata i przyjemnego nader humoru; ja miałem szaloną werwę rozmawiania, podniesioną jeszcze przez świeżą nadzieję niezawodnego tryumfu, tak, że byłbym mógł bez utrudnienia prowadzić dysputę nawet ze średniowiecznym bakałarzem scholastycznej filozofii; wreszcie ona dorzucała także od czasu do czasu krótkie lecz żywe słówko, przyczyniające się do nadania naszej konwersacyi tej elastyczności i tego kolorytu, które tylko kobiety rozmowie nadać umieją.

W całem towarzystwie balowem nie było pewnie ludzi weselszych i lepiej się od nas bawiących. Ktoby nas był widział, mógł sądzić, że jesteśmy przynajmniej od lat kilku ze sobą w zażyłości.

Muzyka zaintonowała znowu walca. Mąż, zachęcając mię i wyprawiając z poufnością starego przyjaciela do tańca, który miał małe nasze grono rozłączyć, rzekł mi przy rozstaniu:

— Spodziewam się, że niedługo zobaczymy pana u siebie — i dodał potem swój adres: ulica Mazowiecka...

Wszystko więc sprzyjało mi jak najlepiej, wszystko szło tak łatwo i gładko, że nic więcej życzyć sobie nie mogłem.

Porwałem moją piękną z szalonym zapałem w ramiona i odtańczyłem z nią najrozkoszniejszego w życiu walca.

Całą tę noc byłem zresztą w ciągłem upojeniu. Szczęście moje nie znało granic; byłem w usposobieniu człowieka, któryby osięgnął najwyższy szczyt swoich marzeń i pewność, że żadna zmiana fortuny szczęścia mu z rąk nie wytrąci. Nawet chwila, gdy bal się już kończył, gdy się z moją ukochaną rozstać miałem, nie zamąciła mi radości. Przecież czekały mię jeszcze inne chwile, które miały mi przynieść większe i zupełne szczęście!.. do puharu rozkoszy dotknąłem dopiero ustami, jeszcze cały pozostawał do spełnienia.

Mimo to dzień następny wydał mi się wiekiem. Chociaż rozszalały namiętnemi wrażeniami wczorajszego balu i nadziejami najrozkoszniejszej przyszłości, zachowałem na tyle rozsądku, że wiedziałem, iż dla pewnej przyzwoitości nie wypada mi zaraz na drugi dzień narzucać się z pierwszą wizytą.

Zrobiłem to jak najprędzej było można, na trzeci dzień.

Szedłem z niecierpliwością kochanka dążącego na schadzkę — według najgłębszego mego przekonania ta wizyta niczem innem nie była. (D. n.).

Adam Bełcikowski.

żkiej słabości chory znajdował się w takim stanie umysłowym, iż nie należało zawierać z nim żadnych umów finansowych.

Sprawa stanęła dość jasno. Na podstawie wyroku przysięgłych trybunał sądowy uwolnił Gniewosza.

Lecz na tem nie koniec.

Przytoczone przez Frylinga słowa Lama spowodowały redakcyę *Kuryera lwowskiego* do wystąpienia z propozycyą, ażeby dla rozpoznania wytykanych pokrzywdzeń chorego Lama złożono sąd polubowny. Z drugiej zaś strony administrator *Dziennika polskiego* Herasimowicz oświadczył, że gotów się poddać sądowi polubownemu, byleby wyraźnie wskazano owe fałszywe rachunki, którymi ze strony administracyi Lama oszukiwano lub spełniano inne nadużycia. Sam wydawca *Dziennika* p. Sawicki milczał dyskretnie dalej.

Teraz dopiero odezwał się publicznie ten, o którego skórę w całej sprawie najwięcej chodziło—Lam. W liście wystosowanym do redakcyi *Kuryera lwow.* oświadczył „że jedyną krzywdą, jaką mu wyrządzono, była nieproszona opieka, jakiej formalnie pastwą stał się w procesie sądowym“, że choroba, która go trapi od jesieni r. 1883, ani na chwilę nie pozbawiła go przytomności umysłu i zdolności do załatwiania interesów a podczas zawarcia układu z Gubr. nastąpiło nawet w jego zdrowiu dłuższe polepszenie, że zatem zeznania świadków, jeżeli który co innego powiedział, mijają się z prawdą. Przez Gubrynowicza nie został skrzywdzony i do żadnego sądu udawać się nie myśli.

Co do zeznań Frylinga zaś oznajmił, że ten widocznie go nie zrozumiał, bo on nie powiedział Frylingowi, że artykuł Gniewosza nie zawiera i połowy prawdy co do stosunków z *Dziennikiem* lecz, że zawiera w połowie tylko prawdę. W końcu nazywa stanowczo nieuczciwem i bezpodstawowem twierdzenie, jakoby ze strony administracyi oszukiwano go fałszywymi rachunkami i dodaje, że jakkolwiek rzeczywiście jest niezadowolonym, z powodów moralnych i materyalnych, ze stosunku swego w wydawnictwem *Dziennika pol.*, to jednak i w tym punkcie obejdzie się bez opieki i sądu.

Volenti non fit injuria—wszystko ucichło.

Tylko nad głową nieszczęsnego p. Gubrynowicza nie przestała świecić zła gwiazda. W kilka dni po owej niefortunnej dla niego rozprawie zarzucił p. Henrykowi Lamowi krzywoprzysięstwo. Za tę zachciankę stanął powtórnie, ale już w charakterze oskarżonego, przed kratkami sądu a że zarzut swój, jak przyznał, uczynił po dojrzałej rozwadze i w zamiarze ubliżenia powodowi, przy badaniu zaś nawet uprawdopodobnić go nie zdołał, został skazany na 3 tygodnie aresztu *).

Przedstawiłem całą sprawę bezstronnie i obszernie. Dziwne ona rzuca światło na nasze stosunki. O złych ludziach i czynach niemoralnych szepcze się po cichu; rzadko kto ma odwagę wystąpić przeciw nadużyciom głośno i otwarcie—trzeba na to... Gniewosza. Charakterystyczne w obecnym wypadku jest to, że sam pokrzywdzony oburza się na swych obrońców a broni krzywdzących.

Wątpię, czy przynosi tem korzyść całemu społeczeństwu, dla którego fakt ten ma ogólniejsze znaczenie. Czas zaznaczyć głośno i wybitnie, że na żadnem polu nie godzi się wyzyskiwać pracy i zdolności pracownika. Dla czegoż w stosunkach literackich ma być inaczej? Nie idzie tu wcale o Lama, ale o słabszych od niego, którzy bronić się wcale nie mogą. Piszący to słowa miał kolegę, którego zwłoki przedwczesna skryła mogiła a który z ciężkim trudem przebijał się przez świat o własnych siłach, zarabiając na swe utrzymanie lekcyami prywatnemi i pracą literacką. Nie tajne były jego stosunki nikomu a jednak jeden z wydawców lwowskich, umówiwszy się z nim o artykuły do swego pisma, krzywdził go bez litości, bo wiedział, że biedak nie upomni się o to.

Leszek.

*) Wyrok jeszcze nie jest prawomocny, bo G. zaapelował do wyższej instancyi. Będzie więc miał przyjemność stawania przed kratkami po raz trzeci.

KORESPONDENCYA MICKIEWICZA.

II.

Okres czwarty: w podróży. Z Niemiec oprócz widoku Szwajcaryi Saskiej, poznania Goethego i Schlegla nie wiele Mickiewicz skorzystał. Włochom zawdzięczał wiele. Tu otwierają się dlań dzieła sztuki, które rozeznawać i oceniać poczyna. Pomaga mu w tem wiele Stattler, malarz. Najsilniejsze wrażenie wywarło na nim odwieczne miasto. Ale natchnienia poetyckiego nie miał w tej epoce rozerwanej mnóstwem przedmiotów, które później dopiero skrystalizowały się i ułożyły. Towarzysz podróży, Odyniec, pozostał daleko, bardzo daleko za swym przyjacielem. „Jestem moralnie samotny—powiada Mickiewicz w liście do Jeżowskiego z 1830 r.—bo towarzysz mój dobry już całem niebem różni się odemnie, i sposobem myślenia i uczucia, i nie mając między sobą języka, zamknęliśmy się w skorupach; wyjąwszy to, że razem mieszkamy, zdaje się, żeśmy daleko od siebie“ *). W tej podróży nie opuszcza go ani na chwilę myśl o kraju, która ma codzień coś do przypomnienia z Litwy. Pobyt w Rzymie wpłynął stanowczo na jego życie: staje się katolikiem duszą i sercem. W tem dochodzi go wieść o powstaniu, chce biedz do kraju, a nieprzełamane przeszkody zatrzymują go. Opuszcza po raz ostatni kraj ojczysty i wraca do Drezna. Przyjaciele znaleźli go w nader smutnym stanie boleści i drażliwości wewnętrznej. Świeże klęski, zawiedzione nadzieje, widok ciągnących do Francyi w nędzy żołnierzy i zły obrót, jaki na ten czas brały sprawy na zachodzie, wywierają nań wpływ okropny. Była to dla niego epoka największego może w życiu umartwienia, czas powstania Dziadów (III). Po napisaniu ich zakwitła wiosna i zdawało się, jakoby ciężar jakiś ogromny spadł z jego duszy, rozjaśniał się humor. Poeta zaczyna zbierać na zapas materyał do *Pana Tadeusza.* W podróży do Paryża słucha opowiadań starego kościuszkowego wiarusa, legionisty Łagowskiego o Maciejowicach, o legionach i o więzieniach. Kapitan Puntner, towarzysz Napoleona z Elby, opowiada o Jenie i Waterloo; Trzciński, rozweselał go opowiadaniem pociesznych scen ze zjazdów, sejmików i hulatyk szlacheckich, posłowie z ostatniego sejmu (Jełowicki, Żarczyński i Nakwaski) prowadzili żarliwie dalszy ciąg długich rozpraw i interpelacyj sejmowych. Z tych i tym podobnych opowiadań zawiązywał się pomysł do *Pana Tadeusza,* który rósł szybko na bruku paryskim wśród kłótni emigracyjnych, tłumnych zebrań na Taranie i Vaubanie, wśród niezgód i szamotania się partyj. Zrazu wiele z tej sromoty wycierpiał Mickiewicz. Po roku zawitał w duszy jego spokój i wypogodził smutne serce. Wówczas M. pisał *Pana Tadeusza* a pisał z wielką przyjemnością, lubił czytywać w głos poszczególne obrazy i sceny, które, rzekłbyś, żywcem wyrywał z lat swoich najrańszych. „Żegoto—mówił do Ign. Domeyki—jeśli za co, to za *Pana Tadeusza* muszą kiedyś postawić mi nowogrodzianie pomnik na placu w Nowogródku...“

*) Z tych słów widzimy, jak Odyniec przecenił siebie w stosunku do Mickiewicza, i jak wątpliwym był tłomaczem jego ducha. *Red.*

Na tem dziele kończy się ostatni okres poetyckiej twórczości Mickiewicza. Wkrótce po napisaniu tej „sielskiej, domowej powieści“ obudza się w nim chęć do domowego życia, jak gdyby natchniona tym samym poematem w odblasku jego lat szczęśliwszych. Z ożenieniem się wzrosły potrzeby i kłopoty życia, nieszczęśliwe stosunki familijne i materyalne podcięły mu skrzydła i złamały go moralnie.

Zdawało się, że na stanowisku profesora w Lozannie znajdzie poeta i byt utrwalony, i potrzeby umysłowe zaspokojone, a w sercu jego zapanuje spokój i zadowolenie. W tem otwierają się nagle szersze widoki na katedrze w *Collége de France.* Mickiewicz zawahał się na chwilę, bo w tym cichym zakątku szwajcarskim, wśród tej cudownej nad Lemanem przyrody znalazł tyle miłości, tyle szczęścia i uznania u obcych, że nie przyszło mu tak łatwo porzucić te strony. Odradzali mu zrazu przyjaciele: W Paryżu—mówili—większe pole do sławy, ale masz już tej sławy dosyć. W stolicy Francyi droższe życie nietylko co do potrzeb kuchennych, ale i co do potrzeb ducha—w Lozannie mniej trzeba pieniędzy, żeby żyć wygodnie, mniej cnoty, żeby żyć „zbawiennie.“ Za samo odmówienie propozycyi na rękach cię będą nosić a palcami cię sobie pokazując, będą mówili: oto ten, co odmówił katedry w Paryżu. W małych miasteczkach dłuższa u ludzi pamięć wsiąka nawet w cegły domów, w kamienie bruku. W Paryżu codzień wszystko wymiotą, wyskrobią, odnowią... Drugi przestrzegał, aby nie opuszczać pewnego, chyba dla pewniejszego a przynajmniej równie pewnego. Trzeci wprost odradzał. Ale Mickiewicz wyższy po nad te drobne, osobiste względy stanął na stanowisku społecznem i oświadczył się za katedrą słowiańską. Wzgląd na dobro narodowe odgrywał nie małą rolę... Gdyby nie przyjął katedry, objąłby ją jakiś Niemiec albo który inny. Słowiańszczyzna przewyższała łacinę średniowieczną w oczach polaka. Jak wielki, jak pomyślny to będzie skutek dla wpływu polskiego, kiedy przed oświeconą Europą, przed całem światem będzie polak reprezentował braci Słowian. Nie dla samej emigracyi, lecz dla całej Polski, dla Słowiańszczyzny uważał za obowiązek zająć to wpływowe i skuteczne stanowisko. Po usunięciu wielu przeszkód i trudności zaczął swój słynny kurs literatury słowiańskiej. Wpływ, jaki wywierały te wykłady, był ogromny. „Miałem niesłychaną w Paryżu przyjemność—pisze Gronkowski—pierwszy raz mogłem być na lekcyi Mickiewicza. Cóż to za wykład! jaka to głębokość i jaka prostota! Tłomaczy się po francusku doskonale, wyrazy jak najtrafniej użyte, tylko wymowa z mocnym cudzoziemskim akcentem...“ „Nie jestem w stanie—są słowa generała Skrzyneckiego—opisać ci wrażenia, jakie na mnie sprawują wykłady Twoje, Adamie, przejmują one wskroś duszę i serce moje, przeszywają mnie, a w Tobie czczę Jasnowidza naszego...“ Mickiewicz nie utrzymał się długo na katedrze; wbrew przyrzeczeniu danemu ministrowi (Cousin), że nie będzie w wykładach wychodził na pole propagandy, zaczął głosić swoje doktryny osławione mianem Towiańszczyzny.

Była to najsmutniejsza epoka jego działalności, chociaż sam poeta czuł się niezwykle podniesionym a nieraz szczęśliwym. Stan, w którym uwierzył w fałszywego proroka—nadawał się najbardziej do przyjęcia jego nauki. Sam donosił Witwickiemu, że upadał już na siłach, że trapił się głęboko i był już sam przez się w stanie nadzwyczajnego wstrząśnienia. W ta-

kiej to chwili nienaturalnego stanu „nową nadnaturalnością“ nagle ogarnięty przydawał do tego, co jest, to, czego nie było, i gwałtownym sposobem wzburzył do głębi swego ducha, „potargał go na kawały...“ Nadaremnie przestrzegał go Skrzynecki, dowodząc, jak się oddala nauka Mistrza od religii Chrystusowej, jego samego w rzędzie „szarlatanów“ kładąc. Nikt go lepiej znać nie może nademnie—powiada generał—przeżyłem z nim lat kilka po parę miesięcy u wód czeskich. W pożyciu domowem znalazłem go dobrego, potulnego i łatwego, poczciwego człowieka, co do zasad zaś religijnych, to od początku jak go znam, nie okazał mi się katolikiem, a w końcu i tego doszedłem, że nie wierzył w Bóstwo Chrystusa.“ Nadaremnie przestrzegali go ze wszech stron przed „fałszywym mistykiem“ i „oszustem.“ Poeta nie dał się odwieść z raz obranej drogi, ani zaklinaniami kolegi, ani odstrychnięciem się od niego najściślejszego koła przyjaciół, ani napomnieniem, ani radą, ani klątwą. Listy Domeyki, potulnego sługi wiary i dogmatu katolickiego, nie odstępującego ani na włos od nauki kościoła, sprawiają przykre na mnie wrażenie. Gdyby mi przyszło dzisiaj wybierać między wiarą Domeyki a obłędem Mickiewicza, wybrałbym ten ostatni. Natomiast chwytają za serce ostatnie słowa pożegnania drugiego, również gorliwego katolika, Witwickiego. Kiedy towianizm stanął nieprzebitym murem między dwoma najserdeczniejszymi przyjaciołmi, Witwicki zrywa z nim stosunki, i z bólem serca pisze ten ostatni list... „Żegnam cię kochany Adamie, żegnam ten dziesiątek lat cały, który ręka w rękę i serce przy sercu w rzadkiej jedności razemeśmy minęli, żegnam wspólny zachód młodości naszej, który nam razem ostatnie światło swoje odświecał. Dziękuję Bogu, iż w tem tułactwie i sieroctwie dał mi był pociechę przyjaźni twojej, i tę przyjaźń dał zaszczepić i utrzymać na służbie swojej. Dziękuję tobie za wszystkie dowody przyjaźni, jakiem od ciebie odbierał, za miłość i ufność, jakieś mi ciągle aż do zmiany swej okazywał, za wszystkie przysługi, za nawiedzanie w chorobie, za modlitwę niegdyś Marysi... niech błogosławieństwo Boże będzie nad wami wszystkiemi! Żegnam Cię— i nim odtąd stanę się dla ciebie, jak chcesz koniecznie, obcym zupełnie, pozwól, że cię raz jeszcze z serca całego i z *płaczem* całuję. Bądź zdrów! Stefan Witwicki.“ Niebawem usunięto Mickiewicza za religijno-polityczną propagandę z wpływowego stanowiska profesora Kolegium paryskiego, i prezesa wydziału historycznego. W jednej chwili stracił największy wieszcz polski, wszystko—cześć, stanowisko, nawet byt materyalny. Dodajmy jeszcze nieporozumienia z Mistrzem, a pojmiemy rozpaczliwe położenie Mickiewicza.

Jeszcze słówko o samem wydawnictwie. Cały ten bogaty zbiór listów wydany staraniem Władysława Mickiewicza z sumiennością i prawdziwie synowską miłością, ma wiele braków techniki i metody wydawniczej. Układ nie jest dość przejrzysty, czasem trudno się zoryentować w tym chaosie grup czy działów, chociaż na usprawiedliwienie wydawcy trzeba to podnieść, że wiele listów przybyło dopiero podczas druku, nie można ich było zatem w stosownem ustawić miejscu. Na tego rodzaju uzupełnienia i sprostowania, jak np. str. 120 itp., trudno się zgodzić, jak nie można znowu winić wydawcę za redakcyą i poprawki listów dokonane przez samego autora, (jak np. Domeykę). Pożądane byłyby tylko krótkie wzmianki, w czyich rękach znajdują się listy, albo z jakiego źródła je brano, a już niezbędnym jest regestr *osobowy, chronologiczny, miejscowy i rzeczony*, któryby ułatwił poszukiwania i skrócił nam mozolną a nieraz daremną pracę. *B.*

DZIEJE KAPŁAŃSTWA.

IV.

Podług legendy staro indyjskiej cały świat należy do kapłanów, którzy podtrzymują na nim ruch i porządek, bądź bezpośrednio czynami swymi, bądź pośrednio za pomocą święceń udzielanych królowi. Z pomiędzy kapłanów tych najbardziej wpływowymi są „bramani,“ na potędze słowa gruntujący znaczenie swoje. Mieniąc się potomkami boga „Brama“ (słowa), i pod tym względem nie wznioślszy się jeszcze po nad poziom „ogólnych pojęć religijnych ówczesnych, bramani jednak mają tę zasługę, że ze wszystkich czynności obrzędowych wybrali dla siebie pierwiastek najwięcej duchowy, słowo, przez co inne obrzędy fetyszyzmu zeszły na plan drugi i z czasem stały się prostymi symbolami. Do obowiązków „bramana“ należą: badanie „Vedy“ (ksiąg świętych), spłodzenie syna, któryby po nim nieprzerwanie spełniał służbę bożą i składanie ofiar w czasie należytym. Skoro zaś przez urodzenie się wnuka odjętą mu zostanie troska o przyszłość, powinien na wzór przodków swoich udać się do lasu i tam udręczeniami wszelkiego rodzaju pomnażać skarby życia zaziemskiego dla siebie i znajomych swoich. Do uprzywilejowanego stanowiska doszli „bramani“ po długich walkach z kastą wojowników (kszatria). Prawo indyjskie nakazuje królom w zupełności ulegać władzy „bramanów.“ „Wstawszy rano—powiada ono—król powinien oddawać cześć bramanom oświałym w nauce trzech „wed“ i oczekiwać ich rozkazów. Od nich niechaj wciąż uczy się skromności, gdyż król, będący skromnego ducha, nie zginie nigdy.“ O jednym z królów Magady powiedziano: „sędziwa głowa jego otrzymywała blask swój od prochu nóg bramanów, którym bił pokłony.“ Za usługi swoje bramani brali wynagrodzenie „dakszyna“ zwane, które nieraz do bajecznych dochodziło cyfr. Księgi „Veda“ opowiadają o 120, 400, a nawet 60,000 wołach, o 500 do 30,000 koniach i 10 wozach wraz z kierowniczkami—płaconych za jedną ofiarę. Charakterystycznem jest, że z chciwością pobierając te wynagrodzenia, bramani nie byli obłudnikami, i wśród najszczerszej modlitwy nawet, wprost przyznawali się, jak bardzo im chodzi o zyski. „Błagamy bogów Indra i Wagu—mówili— aby w dniu dzisiejszym uczynili dla nas przychylnym lud cały i skłonili do przyniesienia nam datków.“ Nie taili się też wcale z tem, że według nich nic nie jest godniejszem nienawiści, jak skąpstwo i ubóstwo, pierwsze, że nie chce, drugie, że nie może. „Kto bramanowi da krowę, napisano w księdze „Atarwa Veda,“ zjedna sobie wszystkie światy, a jak wełna miękką będzie ziemia zmarłemu, który za życia rozdawał „dakszynę.““

Stanowczy przewrót w poprzednio skreślonych pojęciach religijnych wywołał „Buda,“ którego imię nie jest imieniem osobistem, jak Jezus, ale raczej oznacza godność, jak Chrystus, dosłownie zaś przetłomaczonem być może przez „przebudzony,“ „czuwający,“ czyli duch boży wiecznie żyjący. Podług słów legendy królewicz „Sidharta“ zstąpił z nieba na ziemię, przyniósł i rozpowszechnił tu prawo nowe, i za tę zasługę opuszczając doczesną wędrówkę, dosiągł najwyższej doskonałości, stał się „Budą.“ W przeciwstawieniu do kultów dawniejszych budaizm naucza, że nie złośliwość, ani opieka duchów sprowadza dolę i niedolę, lecz że wszystko, cokolwiek się dzieje, tworzy nierozerwalny łańcuch przyczynowości. Kto cierpi na ziemi, cierpieć musi, kto się rodzi, umrzeć musi, choćby bóstwo chciało inaczej; pierwszą przyczyną cierpienia jest urodzenie człowieka. Naturalnym wynikiem tych zasad było całkowite zerwanie ze stroną obrzędową, że tak powiem, ofiarniczą, która, jak widzieliśmy, w dawnych religiach pogańskich najgłówniejszą grała rolę. Na miejsce ofiar i całopaleń, budaizm stawia naukę i dobre uczynki... „Na co zdadzą się—czytamy w jednej z ksiąg świętych—grzeszne owe ofiary? Oszczędzajcie datków i wykonywajcie cnotę!“ A w innem miejscu: „I rzekł Pan do Anandy, iż we wszystkich hołdach tych nie ma upodobania, ale że czcią dla niego i sławą jest, gdy mnich lub mniszka, mąż świecki lub kobieta wykonywają przepisy jego i postępują drogą cnoty.“ Pięć jest przykazań obyczajowych nadanych przez Budę: „nie zabijaj, nie kradnij, nie kłam, nie upijaj się, nie bądź lubieżnym.“ Pomimo licznego zastępu „bonzów“ (kapłanów), oblegających dzisiejsze świątynie budaistyczne, czysty, nieskażony budaizm, podobnie jak chrystyanizm pierwotny, nie posiada oddzielnego stanu kapłańskiego. Na cóż bowiem kapłani tam, gdzie nie ma obrzędów? Budaizm w całej wielkości swojej i piękności występuje w czasach, kiedy energiczni królowie starają się o wprowadzenie w czyn szlachetnych jego zasad. Tak np. za panowania jednego z królów tybetańskich, Acoka, budaizm stał się prawdziwą religią czynu otycznego. Zajmując się z całą troskliwością dobrem powierzonego sobie ludu, król ten nawoływał wciąż do łagodności i szczodrobliwości, poszanowania dla rodziców, dobrego obchodzenia się ze sługami, do walki z zapalczywością i okrucieństwem, lenistwem i zawiścią. Słusznie też, spodziewając się wdzięczności swego ludu, mógł powiedzieć o sobie: „Każdy dobry człowiek jest moim potomkiem!“

Oto jest obraz budaizmu, jakim był za dni młodości i rozkwitu swojego; z klasztorów tybetańskich natomiast, w których tysiące wyznawców Budy znów w najgrubszy popadło fetyszyzm—uderza nas woń zgnilizny i zmurszenia. Ale zgnilizna ta niebawem cały obejmuje ogół—i w miejsce „stróżów nauki,“ „zwiastunów prawdy i moralności,“ jak za dawnych dobrych czasów — widzimy mnichów — czarowników, wróżbiarzy, lekarzy itp., udzielających święceń młodzieży i grzebiących umarłych—za pieniądze.

Dawszy ogólny zarys budaizmu i jego kapłaństwa, Lippert w oddzielnych ustępach przedstawia rozmaite jego odmiany w Tybecie, Chinach i Japonii, poczem zwraca się do kapłaństwa w świecie klasycznym—w Grecyi i Rzymie. Szczegóły, jako bardziej znane, pomijamy. Bez szkody dla całości również, i z tegoż względu pominąć możemy to wszystko, co mówi o tym samym przedmiocie u dawnych celtów, słowian i germanów. Tembardziej zaś uczynić to musimy, o ile, że już nie wiele nam miejsca pozostało, i że pragnęlibyśmy w końcu obszerniej nieco zwrócić uwagę czytelnika na spostrzeżenia, jakie nasuwa autorowi ukształtowanie się instytucyi kapłańskiej w chrystyanizmie.

„Wróciliśmy — powiada Lippert zaczynając rzecz o chrześciaństwie pierwotnem — z dalekiej wędrówki na około świata do własnego ogniska domowego. Wszędzie, nie wyjmując krain przez dzikich zamieszkałych, znaleźliśmy człowieka pogrążonego w świadomości winy, od której zgładzenia zawisłem sobie wyobraża zbawienie życia swojego. Ogół pojęć do zgładzenia tego odnoszących się stanowi obrzędowość, kult religijny, a zawiadywanie obrzędami, ich wykonywanie—kapłaństwo.

Pierwszy wyłom w tych pojęciach zrobił budaizm, a po nim chrześciaństwo. Najdawniejszym symbolem chrześciaństwa jest „modlitwa pańska;“ w modlitwie tej tradycya najczyściej przechowała słowa Jezusa. Cel swój i dążenie widzi ona

w „zbawieniu ode złego,“ ale związku pomiędzy winą a złem wprost nie znosi. Pojęcie bóstwa jest tu wznioślejszem: Bóg ofiar nie potrzebuje. Wina po stronie ludzkiej istnieje, ale Bóg, dobrotliwy i miłosierny, wykonywa miłosierdzie i odpuszcza winę, w tej samej mierze, co i człowiek „odpuszcza winowajcom swoim,“ miarą zbawienia człowieka jest jego miłosierdzie. W Jezusie zjawił się „syn boży“ (przypomnieć tu należy znaczenie przywiązywane do tych wyrazów przez egipcyan, hebrajczyków, indyan itd.) i sam jeden poświęcił się dla zbawienia wszystkich ludzi. Przedmiotowo poświęcenie to wyswobodziło ludzkość z pod przygniatającego ciężaru winy, podmiotowo od świadomości tej winy uwolniła jednostki wiara w poświęcenie i jego własności. Jako instytucya zbawienia pojęte chrześciaństwo niewątpliwie chciało zastąpić wszystkie inne kulty. Modlitwa i zbudowanie, nauczanie i nawoływanie do etycznego sposobu życia — nie są wedle niego czynnościami kultu w znaczeniu starożytnem, nie są, dosłownie wziąwszy, „służbą bożą.“ To też chrześciaństwo pierwotne, chrześciaństwo św. Pawła, nie znało kapłanów, ani stanu kapłańskiego. Wyraz kapłan, prezbyter, w owych czasach zupełnie inne miał znaczenie; używano go mianowicie na oznaczenie naczelnika gminy. Należenie do gminy wiernych staje się odtąd zewnętrzną cechą każdego chrześcianina, wiara—wewnętrzną. Potęga wiary owej polega głównie na tem, że Jezus był „pomazańcem bożym.“ Jako „pomazaniec boży“ Jezus z równą koniecznością jest „synem bożym,“ jak którykolwiek z królów egipskich synem Amona-Ra, jak Inka—synem słońca, jak cesarz chiński — synem nieba. Prawa obrzędowe Jezus odrzucił wraz z obrzędowością. Na miejsce tej ostatniej postawił prawo miłości, prawo miłosierdzia. Wprawdzie chrześciaństwo pojęcia miłości nie wynalazło; ale wyłącznie chrześciańską jest zamiana praw kulturalnych na prawa miłości. Pierwsi „dyakoni,“ o których wspomina historya apostolska, mieli obowiązki wcale niekapłańskie; byli oni opiekunami ubogich w gminie. „Episcopos“ również nie był kapłanem, ale nadzorcą. I apostołowie sami mienią się tylko nauczycielami. Wogóle wszystkie urzędy, wydające się kapłańskimi w pierwotnem chrześciaństwie, są wyłącznie urzędami gminnymi. Obsadzano one były najczęściej drogą losowania — skąd ich nazwa — „clerus,“ losowi, przez los wybrani.

Nie długo jednak trwała ta czystość pierwotna, niedługo ludzie mogli się wstrzymać od pokusy wtłaczania nowych pojęć w dawne formy. Naczelnicy gmin zaczynają „żyć z ołtarza,“ zaczynają się mnożyć rozmaite obrzędy i czary nieznane ani Chrystusowi, ani jego uczniom — słowem rodzi się kapłaństwo w dzisiejszem znaczeniu. Jak się instytucya ta z biegiem wieków rozwijała, jak coraz silniejsze zyskiwała podstawy — rzecz to wiadoma.

Lippert charakteryzuje ją w kilku rysach dosadnych. My ograniczamy się tu na zaznaczeniu, że rozwój ten doszedł do punktu kulminacyjnego w papiestwie. Już papież Grzegorz drugi pisał do cesarza Leona o germanach: „uważają nas za Boga na ziemi.“ Otóż i powrót do pojęć fetyszyzmu. Pojęcia te dźwięczą najwyraźniej w dogmacie nieomylności. Papież jest nieomylny, bo i on, jak kapłani pogańscy, jest wcieleniem bóstwa—bo i przez niego przemawia bóstwo.

Mówiąc o zakonach i rozmaitych kongregacyach duchownych, do dziś podtrzymujących powagę papiestwa, Lippert szczególny kładzie nacisk na działalność jezuitów. Za czasów Juareza, zakon ten dla dobroczyńców swoich mógł dostarczyć naraz 70,000 mszy i 100,000 dobrze odliczonych różańców. Wartości te i widoki łask w przyszłości — najkorzystniej mogły być spieniężone przy konfesyonale i u łoża chorego. To też one właśnie stały się źródłem niewyczerpanych bogactw dla zakonu, który, podobnie jak bramani indyjscy, nienawidzi „ubóstwa.“ Wyrażając niekłamane uznanie dla poświęcenia zakonnic, które często na wpół-dziećmi jeszcze, bez doświadczenia, nie przeczuwając przyszłych pragnień i pojęć — jednym wyrazem całe życie swe bóstwu przynoszą w ofierze — Lippert stawia pytanie: czy ludzkość żadnego nie czuje zawstydzenia, że przyjmuje te ofiary z rąk istot tak słabych i zbłąkanych może?

Taka mniej więcej jest treść *Historyi kapłaństwa*. Sprawozdaniem niniejszem bynajmniej nie mieliśmy zamiaru zastąpić książki samej. Owszem, cel, jaki mieliśmy przedsiębiorąc je, wtedy jedynie będziemy uważali za dopięty, gdy ono zachęci czytelników do zapoznania się z tą pracą niemieckiego autora, która, obok gruntowności, nieocenioną jeszcze posiada zaletę — bezstronność.

Ad. J. Cohn.

LESSAR
o drogach w Azyi Środkowej.

Dzienniki rosyjskie, podając opisy i mapki teatru bieżących rosyjsko-angielskich sporów granicznych, nie wymieniają źródła, z którego czerpią do nich materyał. Owóż, oprócz dawniejszych notatek i opisów Grodekowa, Skobelewa i Komarowa, główną w tym razie pomocą są świeże prace p. Lessara, który od paru lat zajmuje się badaniem dróg na terytoryum należącem do Rosyi, a obecnie—spornem. Był on, czy jest dotychczas, inżenierem dystansowym budowanej przez ministeryum wojny kolei żel. zakaspijskiej, a dzięki swym uzdolnieniom, został agentem dyplomatycznym przy Komarowie, obecnie zaś po dłuższym pobycie w Petersburgu bawi w Londynie. Nie pierwszy to przykład udziału inżeniera w sprawach obcych sztuce inżenierskiej: dosyć przytoczyć nazwisko Freycineta, albo Henryka Rawlinsona, który, będąc inżenierem sztabu angielskiego, spędzał wakacye na poszukiwaniach asyrologicznych w Beludżystanie i dokonał ważnych praw filologicznych.

P. Lessar, bawiąc w Petersburgu, miał w d. 2 stycznia 1884 r. odczyt o *Drogach w Azyi Środkowej*, wypowiedziany w klubie Inżenierów, a później wydrukowany w pierwszych trzech zeszytach czasopisma tego klubu p. t. *Izwiestia Sobrania Inżenierow P. S.* Mapa, zapowiedziana w pierwszym zeszycie, dotychczas nie pojawiła się. Teraz dopiero, na podstawie danych Lessara, wydał mapkę terytoryum od Merwu do Heratu, wydział geograficzny generalnego sztabu, lecz jest ona mniej już pożądana, gdyż sztab generalny i zakład kartograficzny Iljina wydały kilka innych.

Jakkolwiek odczyt Lessara wypowiedziany był prawie półtora roku temu, a najważniejsze poszukiwania dokonano wiosną 1882 roku, jednak są w nich, pomimo oddalenia od chwili bieżącej, zadatki obecnego zatargu. A zresztą idea od czasów Piotra W. podobno kiełkuje!

W kwietniu 1882 roku wyruszyłem— pisze L.—dla zbadania najciekawszej i najmniej znanej części zamierzonej drogi; mianowicie okolicy położonej między Murgabem a Heryrudem, którą nazwiemy południową Turkmenią. Nie posiadano o niej żadnych wiadomości. W r. 1878 generał Petrusiewicz przebył brzegiem Heryrudu drogę do Kusanu, generał Grodekow z afganistańskiego Turkiestanu dotarł do Heratu; dawniej zaś w r. 1840 wzdłuż Murgabu przeszli do Chiwy angielscy podróżnicy, Szekspir i Abbot. Drogi przez nich przebyte prowadziły po górach i były nader uciążliwe. o miejscowości zaś położonej między rzekami nie miano nawet pojęcia, na mapie tworzyła ona białą plamę. Przypuszczano powszechnie, że główny łańcuch Paropamisu ciągnie się tędy właśnie i że dosięga 20,000 stóp. Tymczasem z opowiadań krajowców dowiedziałem się, że to nie prawda, że południową Turkmenią przecinają bardzo dobre drogi. Okolica jednak jest pusta a ostatnim zaludnionym punktem — warowny Serachs nad Heryrudem... Nie dawniej jak około 1870 roku Mac-Gregor pisał, że o południowej Turkmenii nie ma wiadomości, bo każdy spokojny obywatel, wolałby iść raczej do piekła, niż do tego kraju. Ale zdobycie Geok Tepe zrobiło dobry skutek...

Drogę z Serachsu przez południową Turkmenię do Heratu—pisze dalej autor— znalazłem lepszą, aniżeli mogłem się spodziewać. Z Aschabadu *) do Heratu— 600 wiorst; część tej przestrzeni mianowicie 280 wiorst do Serachsu, i 120 w. dalej przecina równinę; na przestrzeni zaś 150 w.—okolicę pagórkowatą i łańcuch gór, w których przejście wznosi się na 3,000 stóp nad poziom morza, a na 1,000 nad okolicą.

Budowa drogi żelaznej nie spotkałaby tu przeszkód większych, niż te jakie mamy zwykle na drogach rosyjskich — dodaje p. L.

Tym sposobem wyjaśniło się, że z punktu widzenia technicznego zbudowanie drogi żel. od wschodnich wybrzeży m. Kaspijskiego do Indyi, trafia na pomyślne warunki, wątpliwą bowiem była właśnie część jej w południowej Turkmenii; dalej stwierdził p. L., że od Heratu do granic Indyi mamy około 1,000 wiorst; z tej liczby droga do Kandaharu nie napotka wielkich trudności, a reszta, t. j. 400 wiorst, zbadana przez inżenierów angielskich, chociaż prowadzi przez wzgórza—nie przedstawia również trudności wyjątkowych. Gdy owoce tego pierwszego badania zostały ogłoszone (gdzie?) zwróciły—mówi p. L.— ogólną uwagę w Anglii.

W kraju tym każdy mąż stanu i każdy publicysta, zainteresowany kwestyą środkowej Azyi, przekonany jest, że wszelkie ruchy rosyan w tej krainie mają na celu wdarcie się do Indyi; nadzieje całe opierały się na tem, że przeszkody przez przyrodę wzniesione w postaci łańcuchów gór 20,000 stóp wysokich, unicestwią ten plan rosyjski. Liczono na to, że jedyna droga do Indyi jest ta, po której wdzierali się dotychczas wszyscy zdobywcy, t. j. przez Persyę, droga, która może być otwartą dla Rosyi w wyjątkowym ili tylko razie. Owoce badań południowej Turkmenii zmieniły w podstawach poglądy powyższe; w ręku bowiem Rosyi *okazała się dobra droga do samego Heratu.* (Pisano w końcu 1883 r.)...

Powyższy ustęp ma—jak widzieliśmy— na widoku drogę z Aschabadu na południe do północnego Afganistanu; oprócz tego Lessar badał dwa inne kierunki, jako to z oazy Achal-Teke do północno-wschodnich granic Persyi i z Achal-Teke przez pustynię do Chiwy i Buchary. Wszystkie te badania, przedsiębrane w latach 1881, 2 i 3 dały rezultaty względnie nader pomyślne i praca, z której to wyjmujemy, obfituje w bardzo ciekawe, acz specyalne dane o własności gruntu, o wodzie, sposobie uregulowania dróg, które jak na teraz muszą pozostać nie kołowemi, o właściwościach ludności, która trudniąc się napadami, przeszkadza stałemu i bezpiecznemu ruchowi karawan, o zajęciach lu-

*) Do Aschabadu prowadzi *zakaspijska* droga żel.— z Krasnowodzka—portu m. Kaspijskiego.

dności koczowniczej, nie rozbójniczej, zajętej uprawą ziemi a przeważnie hodowlą stad itd.

Wszystko to są rzeczy tak zajmujące, że gdybyśmy mieli swoje towarzystwo geograficzne, nie wątpię, że pospieszyłoby przyswoić to studyum naszemu piśmiennictwu, a że są ciekawsze, bo bliżej mogące nas obchodzić, niż wybrzeża Kameruńskie, to nie ulega żadnej wątpliwości.

Właśnie czytając protekcyonalne elukubracye i wiadomości o emisaryuszach angielskich, zastanawiałem się, czy też przyszło tym i owym do głowy, że jakaś mikroskopijna cząstka interesu może wiązać myśl naszą z ową Azyą środkową—bliżej, niż z Anglią; że w danym razie, jeśli rzecz brać specyalnie, więcej nam pod każdym względem się przyda, gdy Rosya zagarnie rynki środkowo azyatyckie, niż gdy je Anglia pochłonie. Istotnie, choćbyśmy mieli z czasem sprowadzać tylko bawełnę i jedwab z Buchary zamiast z Egiptu, to i to się na coś przyda, choćby tylko, kupcy moskiewscy posiedli kilka azyatyckich bazarów, a nam łatwiej było zbywać nasze towary na rosyjskich.

To też nie dla politycznych względów przesyłam ten artykulik *Prawdzie*, lecz dla tego, że w studyum Lessara są nuty handlowo-przemysłowe. Żałować można, że o nich więcej nie pisze poważny autor, że może tendencyjnie, o zbycie w tych przyszłych „koloniach“ nie wspomina, natomiast podaje, czego się można spodziewać od tych okolic, od ich bogactw i szczegóły te jeszcze przytaczamy.

Szturm Geok-Tepe (12 stycznia 1881) był ostatnim aktem wojennym w ziemi Tekińców—pisze Lessar—która następnie przyłączona została do Rosyi pod nazwą ogólną *Zakaspijskiego obwodu*. Nastąpiła teraz kolej na urządzenie kraju nowopodbitego; lecz na przeszkodzie stał brak znajomości miejsca i nieład, jaki panował w tych stronach, szczególnie w ciągu ostatnich lat 20-tu. Oddziały rosyjskie posuwały się mniej więcej w jednostajnych kierunkach; z Krasnowodzka do Chiwy, do Atreka i wzdłuż Koppet-dagu do Bami, lecz i o tych drogach miano niejasne pojęcie; gdy bowiem po przebyciu wielkich trudów wśród bezwodnych etapów oddział dotarł do jakiej osady, to nic dziwnego, że każda struga wydawała mu się rzeką, a każde dwa czy trzy drzewa—ogrodem. Pod wpływem takich to wrażeń powstało pojęcie o bogatej przyrodzie Oazy Tekińskiej. Rzeczywistość okazała się inną; kraj ten jest bardzo ubogi. To prawda, że ziemia w Oazie jest wszędzie urodzajną, lecz sama ziemia nie jest wszystkiem; wody zaś niezbędnej dla uprawy bardzo mało i ledwie wystarcza, pomimo że cała ludność Achalu razem z wojskiem rosyjskiem nie dosięga 60 tysięcy. Achał i w przyszłości nie może wykarmić o wiele więcej ludzi, ilość bowiem wody znacznie powiększyć się nie da. Cały ratunek—nie używać wody na potrzeby nieprodukcyjne, lecz posługiwać się jej zasobami i klimatem dla uprawy bawełny i jedwabiu, zostawiając uprawę pszenicy i jęczmienia mieszkańcom podgórzy, gdzie nie potrzeba sztucznego nawadniania.

Co się tyczy zasobów mineralnych, to naftę znaleziono daleko od kolei żel.; więc przywieziona z Baku taniej kosztuje. Znane pokłady siarki koło studzien Szejch, oddawna dostarczające tego materyału na proch turkmenów i chiwińców także oddzielone są od lepszych dróg. Siarka zakaspijska nie może nawet współzawodniczyć w Baku z sycylijską.

„Ale biedny kraj zakaspijski ma doniosłe znaczenie pod względem położenia geograficznego; leży bowiem między bogatszymi obszarami, jako to: Persyą, Afganistanem, Bucharą i Chiwą, i przezeń to z łatwością może się odbywać komunikacya tych krain ze wschodniem wybrzeżem morza Kaspijskiego, a *eo ipso* z Rosyą...“

Czytelnik znajdzie, oprócz szczegółów objaśniających powyższe kwestye, ciekawe poglądy inżeniera na żywotną sprawę połączenia morza Kaspijskiego z Aralskiem, za pomocą łożyska rzeki Uzboj, co uważa Lessar za zadanie całkiem niepraktyczne, o zwróceniu koryta Amu-Daryi do łożyska zw. Onguzem; „nie ma w nim ani piędzi, choć trochę przypominającej koryto rzeki, i zdolnej posłużyć na przeprowadzenie jej...“

Temi wzmiankami zamknę streszczenie studyum, godnego—z powodu, że jest oryginalną i wyższego umysłu pracą—zaznaczenia w *Prawdzie*.

A. Pawłowski.

NA WIDNOKRĘGU.

Znajomość geografii. — Przyczynek do naszego krajoznawstwa. — Niepojętność chłopów. — Droga iwangrodzko-dąbrowska. — Ruina powszechna. — Wąsata matka. — Pożary.

Śmiejemy się wszyscy z geografii francuzów, przy sposobności wytykamy podobne błędy niemcom, a tymczasem sami na każdym kroku zdradzamy większą jeszcze nieznajomość rzeczy własnych. Oto np. jedno z pism tygodniowych warszawskich nie wie o istnieniu *Dziennika łódzkiego*, ale posłyszawszy, że gdzieś coś dzwonią, adresuje list do *redakcyi gazety polskiej w Łodzi*, drugie (codzienne) włącza powiat lipowiecki do gubernii płockiej, później zaś, zwalając winę na zecera, prostuje omyłkę w ten sposób, że mieści Lipowiec w gubernii wołyńskiej, kiedy tymczasem znajduje się on w Kijowskiej. Przed kilkoma dniami w sprawozdaniu z procesu, wszystkie pisma codzienne przeniosły jednozgodnie Uszycę z Podola do gubernii mohylewskiej. Błędów podobnych w ciągu tygodnia naliczyć można dziesiątki. Ale nieuctwo geograficzne to dopiero połowa złego; dorównywa mu bowiem zupełna nieznajomość stosunków prowincyonalnych. Dobrze jeszcze, że większą część swych wiadomości dzienniki warszawskie przepisują po prostu z organów miejscowych, nie wdając się w objaśnienia. Pomimo tego tyle jeszcze dziwolągów ogłasza się publicznie, że zniecierpliwieni lublinianie postanowili wprowadzić do swej gazety rubrykę sprostowań wiadomości o lubelskiem, podawanych przez prasę warszawską. Rubryka obiecuje być ciekawą.

Zdaje się, że najbliższą pobudką, która skłoniła spokojnych mieszkańców leszkowego grodu, jak się wyraża *Kuryer warszawski*, do tego energicznego kroku, była korespondencya w *Kolcach*, twierdząca, że na wzmiankę o prelekcyi *) lublinianie pytają: czy to z sosem? Przynajmniej *Gazeta lubelska* niezmiernie na to się oburza.

Pisma humorystyczne najprędzej rozruszać potrafią drzemiących mieszkańców prowincyi. Satyra—to bicz, który przetnie najgrubszą skórę, szkoda tylko, że u nas schodzi ona coraz częściej na manowce paszkwilu. Te same *Kolce*, które dokuczają lublinianom, nazwały trupę aktorów w Radomiu—wędrującym kryminałem. Artyści zamierzają bronić swej czci na drodze sądowej, ponieważ, jak to ogłasza manifest dyrektora trupy „działają oni na szerszej widowni“ i „spotwarzono ich w oczach całego kraju.“ Żałuję tych biedaków, ale bardziej jeszcze tego kraju, w którym teatr jest widownią szerszej działalności, i którego mieszkańcy na tę widownię głównie zwracają oczy.

*) Za niespełnioną chęć prelekcyjnego popisu pewnego „profesora“ (*honoris causa*), Lublin stał się krzywą wierzbą dla poprzyjaźnionych z zawiedzionym kóz.

My tymczasem zwrócimy je na inną widownię, noszącą nazwę Kalinówki, miasteczka w powiecie winnickim. Działalność cywilizacyjna szlachty na kresach, którą p. Sienkiewicz gwałtem wyszrubował do ideału, streszczała się przeważnie w zakładaniu miasteczek. Te improwizowane „siedliska kultury“ składają się zwykle z kilkudziesięciu odrapanych domków, kościoła lub cerkwi, bóżnicy, kilku kramików i znacznej liczby szynków. Kalinówka jest takim właśnie poranionym płodem fantazyi osadniczej szlachcica. Przed 60 laty niejaki Sobieszczański wybrał sobie w polu równy plac, postawił murowane sklepy, wybudował kilkadziesiąt domków różnej wielkości i za skromny czynsz oddał je w posiadanie nowym osadnikom, głównie żydom. Ale *tempora mutantur*, działalność Sobieszczańskich spadła z cywilizacyjnego etatu i ustąpiła miejsca innej, której przedstawicielem w Kalinówce został niejaki p. Walkow. Ten ostatni rozpoczął walkę z czynszownikami, wytoczył im proces o wysiedlenie, który dotychczas czeka w senacie na ogólne rozwiązanie sprawy czynszowej.

Ufni w swe prawo mieszczanie siedzą spokojnie, ale przeciwnik ich nie zasypia i występuje z pretensyą do placów i miejsc swobodnych. Sąd przyznaje mu słuszność, a ponieważ podwórza nie były ogrodzone, w posiadaniu czynszowników pozostała tylko ziemia pod domami. Chodzić po swym gruncie p. W. nie zabrania, ale nie pozwala stawić podpór pod walące się domki, nie pozwala trzymać ani drobiu, ani bydła; nawet kóz, wiernych towarzyszek gospodarstw żydowskich nie ma tam wcale. Niedawno p. W. wymyślił nową sztukę. Domy w Kalinówce powstają w ten sposób, że naokoło starej siedziby wbijają się słupy, stawia się zrąb i wtedy dopiero rozbiera stare domostwo. Kilku żydów zaczęło taką budowę, kiedy jednak zrąb stanął, p. W. rozpoczął proces o pogwałcenie praw właściciela ziemi, i sąd z uwagi, że nowe domy, jako nieco szersze, zajęły część gruntu właściciela, rozkazał je zburzyć. Inni mieszkańcy wobec tej groźby użyli przed sądem innych argumentów. Nie zaprzeczali oni, że domy są szersze, ale dowodzili, że zajmują tylko to miejsce, które pokrywał poprzednio daleko wysunięty dach słomiany. Oprócz tego okna w starych domach otwierały się na zewnątrz, i dzieci, jak zeznali świadkowie, swobodnie biegały na około domów—nowe ściany zaś po za tę naturalną granicę nie wychodzą. Sąd na szczęście zadowolnił się tymi dowodami i pozostawił biedaków w spokoju.

Dodać należy, że mieszkańcy Kalinówki nie posiadają własnego cmentarza, dawniejszy zabrał im właściciel, wywożą więc nieboszczyków do innych miasteczek i tam grzebią, rozumie się, zapłaciwszy wprzód za pozwolenie sporą sumkę.

W innych miasteczkach prywatnych dzieją się przeróżne nadużycia, Kalinówce jednak należy się pierwszeństwo. Historya tego miasteczka jest ciekawym przyczynkiem do nauki naszego krajoznawstwa.

Potworne stosunki czynszowe oczekują dotąd ostatecznego uregulowania, a tymczasem dają sposobność do tysiącznych wybiegów, do zajść tragicznych, które nieraz kończyły się krwawo a zawsze kończą się smutno — bo w więzieniu.

Jakkolwiek w Królestwie stosunki takie nie istnieją, bywają jednak i u nas tego rodzaju sprawy. Pisma z ubiegłego tygodnia przyniosły wiadomość o dwóch podobnych wypadkach. W radomskiem włościanie, którzy nie chcieli płacić znacznej sumy na regulacyę brzegów Wisły, twier-

dząc, że dawno już płacą, a pomimo to woda ciągle ich zalewa, dali się w końcu przekonać, dzięki osobistemu pośrednictwu miejscowego gubernatora. Nawrócenie było tak szczerem, że wydali nawet przywódców buntu. Rolę tę, jak zwykle u nas, wykonywały — baby.

Nieoświecony chłop po należytem wyjaśnieniu zrozumie wreszcie tajemnicę podziału dóbr, polegającą na tem, że regulacya jest dla inżenierów, dla niego zaś wylewy. Ale najbardziej przekonywająca wymowa, najdotykalniejsze, że tak powiem, argumenty nie wbiją mu do głowy, że ziemia, której potrzebuje, może należyć do kogo innego. W dobrach opolskich kilku włościan zaorało ogród dworski, do którego rościli pretensyę. Odnośne władze w swoim czasie odrzuciły ich żądania. Chłopi jednak oświadczyli, że ich bynajmniej nie obchodzi, co tam komisya postanowiła, zaorali ogród i zasieli go jęczmieniem. Można pocieszać się myślą, że ten zamach na cudzą własność nie ujdzie im bezkarnie, ale to niedosyć. należałoby głębiej wejrzeć w przyczyny ciągłego powtarzania się takich zajść, chociażby w tym celu, ażeby je można było uprzedzić. W życiu zasada prewencyjna lepszą jest, aniżeli represyjna. Stara piosnka o pokątnych doradcach i ludziach złej woli, chociażby podkreślona, jak to czyni, donosząc o powyższym wypadku, *Gazeta lubelska*, niczego właściwie nie tłomaczy. Chwast ten wyrasta tylko na odpowiednio przygotowanym gruncie.

Drogi żelazne zbliżają prowincyę z Warszawą i ułatwiają wymianę nietylko surowych i przerabianych produktów, ale również surowych spostrzeżeń i przerobionych poglądów. Zbliżenie to nie następuje jednak z pożądanym pospiechem, bo oto np. kolej iwangrodzko-dombrowska rozwozi cywilizacyę zaledwie z szybkością 15 a raz tylko na dzień 25 wiorst na godzinę. Naśladuje ona pod tym względem nasz „rozumny postęp" i również jak on drogo każe sobie płacić za tak powolną działalność. Taryfy na przewóz węgla kamiennego, piaskowca, żelaza, zboża itp. są zbyt wygórowane, więc też furmani z Szydłowca i Wąchocka współzawodniczą pomyślnie z koleją, a nawet zachęceni powodzeniem i niską ceną owsa obiecują zniżenie opłaty za przewóz. Dostawa różnych przedmiotów z Bzina do Warszawy kosztuje końmi 16—20 kopiejek od puda, koleją zaś — 26. Kopalnie szydłowieckie piaskowca, fabryka żelaza w Nietuliskach, cukrownia w Częstocicach i inne zakłady, jak donosi korespondent *Wieku*, wysyłają swe wyroby do Warszawy za pośrednictwem furmanów. (Niedawno w ten sposób przyjechał podobno do ogrodu zoologicznego — niedźwiedź).

Drogi podjazdowe są w opłakanym stanie i zwiększają jeszcze koszta transportu. Nadto płacąc wiele, publiczność nie korzysta wcale z udogodnień, jakie zwykle przynoszą koleje. Gazety przychodzą teraz znacznie później, telegraf istnieje, ale dla drogi, nie dla pasażerów, służba pocztowa urządzona jest jak najfatalniej — np. na głównej stacyi w Bzinie nie można odbierać ani pieniędzy, ani posyłek wartościowych, ale trzeba jeździć po to albo do Szydłowca odległego o 15, albo do Suchedniowa o 10 wiorst i to, rozumie się, końmi.

Z gubernii mińskiej donoszą o powszesznych bankructwach dzierżawców, wiele majątków dotychczas nie wydzierżawiono, chociaż czynsz zniżony został nieraz do połowy; to samo piszą z Wołynia a korespondent z wilejskiego domaga się przyznania pierwszeństwa swemu powiatowi. Jedni z dzierżawców porzucają majątki, drudzy dopuszczają się nadużyć. Stąd zatargi i procesy. Właściciele wyrzucają dzierżawcom niesumienność, ci zaś ostatni pierwszym chciwość i nieludzkość. Położenie ludności włościańskiej nie o wiele lepsze, chleba mało a zarobków ubocznych niema wcale. W niektórych okolicach Polesia obawiają się głodu na przednówku.

Powszechna bieda daje się we znaki i żydom. Jeden korespondent wyraża zdanie, że zamiast bronić się od wyzysku żydowskiego wypadnie może żywić bezpłatnie ubogą ludność izraelską, która w małych miasteczkach literalnie umiera z głodu. Biedacy dają maleńkim dzieciom po kawałku śledzia, w tym celu, żeby pobudzić pragnienie, wtedy bowiem dzieci piją wodę i nie dopominają się chleba. Uwadze pp. antysemitów polecam ten nowy objaw sprytu żydowskiego do oszustwa. Na obrazku tym nie braknie ani pejsatego ojca, ani niechlujnej matki, ani kędzierzawych bachorów, dolatuje odeń zapach śledzia i cebuli — to dosyć, ażeby odwróciła się od widoku tej zgrozy obojętnie czuła „matka," która przebija swe serce na użytek czytelników *Roli*.

Bo trzeba wiedzieć, że p. Jeleński dał sobie nowy tytuł. Sprzykrzyło mu się nazywać samego siebie szefem, ogolił więc „zawiesiste wąsiska," nadał swemu „słowiańskiemu obliczu" wyrażenie skromności i powagi i został „matką." Młoda matka, zapłodniona przez trutniów urodziła już nową poczwarkę, w której jednak biegły spostrzegacz odnajdzie pokrewieństwo z poprzedniemi głupstwami „kamiennego szefa."

Na porządku dziennym stoją obecnie pożary, niepodobna tu notować wszystkich, zaznaczam więc tylko, że tak powiem, kwalifikowane. W Płocku spalił się magazyn zbożowy, z niewiadomych, ale tajemniczych przyczyn, w Poniewieżu kilka domów, w których na strychu znaleziono cały zapas pałeczek fosforu i prochu, a w majątku Karlsber, w powiecie wilejskim, peryodycznie płoną po kolei wszystkie budynki folwarczne. W gubernii warszawskiej w ciągu jednego tygodnia spaliło się troje dzieci i dwoje dorosłych, w Suwałkach o mało pożar nie pochłonął całego miasta, w Przasnyszu... Ale chyba i tego dosyć?

N.

Łódź. W mieście znajduje się około 10,000 czechów, trudno jednak ich zauważyć, ponieważ bracia słowianie nietylko na ulicy, ale i w życiu domowem posługują się przeważnie językiem niemieckim, i tylko z niemcami utrzymują stosunki, nie zbliżając się do ludności polskiej.

Radom. Adwokaci miejscowi otrzymali pozwolenie władzy na urządzenie bezpłatnych porad prawnych, które mają się odbywać w gmachu sądu okręgowego.

Piotrków. Urzędnik banku w Łodzi Karczewski, który podstępnie skradł z kasy znaczną sumę, skazany został na osiedlenie w Syberyi, z pozbawieniem szczególnych praw i przywilejów.

Kijów. Do niedawna jeszcze panowało błędne mniemanie, że w Kijowie mało jest archeologicznych pamiątek z tego niby powodu, że miasto od czasów Andrzeja Bogolubskiego, który pierwszy do szczętu je zburzył, było zbyt często rządzone po tatarsku. Dziś nikt już nie wątpi, że taka opinia była fałszywą, od czasu, jak oskrobano ściany soborów, odkryto freski, oczyszczono mozaikę, odkopano szczątki budowli itp. Wszystko to posłużyło do objaśnienia historycznej przeszłości kraju nie dalej, jak za tysiąc lat sięgającej; teraz poczynamy przekonywać się coraz częściej i lepiej, że miasto ma jeszcze po za Herodotową przeszłość; co dnia nieledwie przybywają nowe materyały dowodowe, które się gromadzą w nieładzie, a nikt jeszcze nie zbadał ich i nie objaśnił jak należy.

Osuwające się góry na pobrzeżu dnieprowskiem odkrywają ledwie nie corocznie mnóstwo archeologicznych pamiątek, rozbieranych przez osoby prywatne. W ten sposób odnajdywano już nie pojedyncze monety, ale całe skarby pieniędzy arabskich, fenickich i in. Większą część rozchwytywano na miejscu, a jakaś okruszyna dostawała się do zbiorów numizmatycznych— i będzie tam leżeć znowu może jakie dwa tysiące lat, jeżeli nie znajdzie się amator, który to wszystko ukradnie.

Tej wiosny osunęła się także część góry i pokazało się cmentarzysko pogańskie. Nawiasem powiedziawszy, nie jest to cmentarzysko ani pierwsze, ani ostatnie. Jedna olbrzymia mogiła (inaczej nazwać nie można, mając na względzie obszar) znajduje się przy „daczy" (właściwie jest to futor zużytkowany jako miejsce spacerowe), leżącej niedaleko Kijowa, obok szosy do Żytomierza, zwanej Rajgródek. „Dacza" owa jest w prześlicznem położeniu śród jarów, wzgórz i dolin; nie o piękne widoki nam jednak chodzi, ale o cmentarzysko, którego połowa leży w obrębie Rajgródka, obecnie należącego do p. Kibalczycza, a druga jest splantowaną pod szosę i pod domy mieszkalne. Pan Kibalczycz, amator archeologii, a raczej handlarz na wielką skalę archeologicznymi zabytkami, do których doszedł przypadkowo, urządził nawet w Rajgródku miejscowe muzeum starożytności znalezionych przeważnie koło Kijowa, po rozkopaniu cmentarzysk pogańskich (w części tylko). Wielu jeszcze z mogił w obrębie Rajgródka nie zaczepił rydel p. Kibalczycza.

Obecnie, kiedy wskutek osunięcia się góry, odkryto nowe cmentarzysko pogańskie, p. Kib. udał się z prośbą do dumy, ażeby mu pozwoliła robić rozkopy. W jakim celu? Na to, ażeby te prastare pamiątki słowiańskie pomieniał za kamee i fatałaszki, lub oddał je komuś w prezencie? Na to nie warto kopać; niech lepiej leżą jeszcze w ziemi, a może przecie czyjaś sumienna i umiejętna ręka wydobędzie je na pożytek publiczny. Póki wszystkie zabytki znalezione w pewnem miejscu, są zgromadzone, łatwiej dadzą się zużytkować jako materyał naukowy do illustrowania nieznanego nam dzisiaj świata i życia praszczurów. Rozproszone po kątach, po prywatnych zbiorach i ermitażach stają się nie dostępne dla uczonych i badaczy. Takie to czasy. Ludzie prawdziwej nauki, sumienni pracownicy na niwie społecznej są ubodzy, na dalekie podróże brak im czasu i pieniędzy, a pomocy żadnej od nikogo spodziewać się nie mogą, bo nasza społeczność jest jak dziecko ale wychowane: nie umie rozpoznać zgrai pochlebców od spokojnych i uczciwych pracowników. Nie dziwna tedy rzecz, że błyskotki świecące nęcą sroki codziennego życia, a skarby prawdziwe rozdrapują—geszefciarze.

Z objawów naszego codziennego życia nie wiele znalazłoby się do zanotowania. Z powodu tysiącletniej uroczystości Cyryla i Metodego wyprawiono uroczystość. Był Słowiański koncert; śpiewano na nim po rosyjsku, po rusińsku, po czesku i po bułgarsku.

F. R.

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Warszawa, d. 6 maja.

Burza — jak przepowiadaliśmy — przeszła, wyjaśniła się atmosfera polityczna i tylko od czasu do czasu rozlegają się jeszcze w dziennikach grzmoty odchodzącej nawałnicy, ale są to już tylko gromy papierowe. Najczulszy barometr polityczny— giełda wykazuje podwyższenie kursów, a więc zapowiada pogodę. Państwa zainteresowane w sporze, rozważywszy chłodno okoliczności, przyszły do przekonania, że dziś jeszcze niema żadnej racyi do wojny. Od początku zatargu pokojowe usposobienie obu stron nie przedstawiało wątpliwości; chodziło więc tylko o honorowe załatwienie zajścia. Po ostatniej nocie rosyj-

skiej, zredagowanej stanowczo, rząd angielski cofnął poprzednie żądanie potępienia działań generała Komarowa i zaproponował sąd rozjemczy. Sąd ten ma orzec, czy umowa z d. 17 marca była przez jedną ze stron spornych fałszywie tłomaczoną, wskutek czego przyszło do starcia pod Kuszkiem. Sędzią polubownym ma być podobno król duński. Prawdopodobnie Rosya kierując się zdaniem, że pobitemu nieprzyjacielowi należy ułatwić odwrót, zgodzi się dać Anglii to mizerne zadośćuczynienie. Cały przebieg sprawy zadaje ciężki cios dumie brytańskiej, która pragnie teraz, żeby przynajmniej porażka jej odbyła się z pozorami kapitulacyi honorowej.

Jednocześnie odbywać się ma regulacya granicy afgańskiej na poprzednio umówionych podstawach. Z Londynu donoszą telegramy, że wyszedł już rozkaz wstrzymania uzbrojeń floty. Dotychczas niewiadomo, czy Port-Hamilton w Korei został przez anglików zajęty czy nie. Jedne dzienniki potwierdzają fakt, drugie zaprzeczają.

Wogóle wbrew przewidywaniom polityków-amatorów, dla których wiosna jest porą wojny, wszędzie, gdzie dotychczas wrzała walka, zanosi się na pokój. Chińczycy spełniają ściśle warunki umowy z francuzami i powoli wynoszą się z Tonkinu, Włosi siedzą w Afryce, oczekując na nieprzyjaciela, który jakoś nie pokazuje się wcale, nawet w Sudanie cicho, może dlatego, że niema stamtąd żadnych prawie wiadomości.

Ale i tam nie grozi widocznie anglikom niebezpieczeństwo, kiedy generał Wolseley wraca do Kairu.

Chińczycy tylko, pozbywszy się jednego kłopotu, wnet mają już drugi. We wschodnim Turkiestanie Chakim chan pretendent do tronu kaszgarskiego (i takie są), który był internowany w granicach rosyjskich, uciekł i podniósł rokosz przeciw państwu niebieskiemu. Jeżeli mu się powiedzie, Rosya odzyskać może Kaszgar i Kuldżę.

Francya otrzymała zupełne zadosyćuczynie z powodu zajścia w Egipcie, o którem wspominaliśmy w numerze poprzednim; teraz znowu protestuje przeciw wylądowaniu wojsk amerykańskich na międzymorzu Panama. Spór ten niema wszakże większego znaczenia.

W Grecyi nastąpiło przesilenie ministeryalne, gabinet Trikupisa podał się do dymisyi, a na czele nowego rządu stanął Delyanis, aż do nowego tryumfu Trikupisa. Powtarza się to peryodycznie i bez żadnych widocznych przyczyn.

W Kanadzie powstanie trwa dotąd i nieprędko zapewne stłumionem zostanie ponieważ Anglia nie posiada tam odpowiedniej liczby wojsk. Telegramy donoszą wciąż o potyczkach i zwycięztwach, ale wojna taka trwać może lata całe.

Rząd pruski wydał postanowienie nakazujące wydalić wszystkich poddanych rosyjskich, którzy zamieszkali we wschodnich prowincyach państwa. Przeciw rozporządzeniu temu zaprotestowali posłowie polscy w parlamencie, będzie to, rozumie się, głos wołający na puszczy.

Cesarz austryacki przyjmował deputacyę rusińską w sprawie zajęcia przez jezuitów klasztoru w Dobromilu. Skarżącym obiecano spełnienie słusznych ich żądań, ale dopiero za dwa lata.

O PRAWDĘ.

(Odpowiedź na oceny mej książki *O początku rozwoju umysłowości w przyrodzie*).

W ciągu miesięcy trzech od chwili wyjścia z druku mej książki pojawiły się w pismach peryodycznych naszych cztery jej oceny. Nie wypadły one dla mnie pomyślnie, ale dowodzą przynajmniej, że przedmiot, który sobie obrałem, dla publiczności naszej nie jest obojętnym, i to mi na teraz wystarcza. Uderzającą rzeczywiście jest zgodność ze sobą tych ocen, co było by niezaprzeczonym dowodem ich słuszności, gdyby nie było zarazem widocznem, że zażądano od mojej książki daleko więcej, aniżeli ona dać mogła. Jest ona poprostu *studium* przyrodniczem, w którem treść przyrodnicza wystęuje jasno od pierwszej do ostatniej karty, a tymczasem urojono sobie, że to ma być filozoficzny traktat i uroszczono odpowiednie wymagania. Wprawdzie z moich przyrodniczych danych powyprowadzałem filozoficzne wnioski, sądziłem jednak, że oceniając moje wyniki, należało także uwzględnić i moje podstawy, a tymczasem ani słowa o nich, jak gdyby ich zupełnie nie było, tak, że ktoby przeprzednio nie czytał mojej książki, ani by się domyślił, że tam się przyrodniczego cokolwiekbądź mieści. Słowem, postąpiono ze mną tak prawie, jak gdyby kto obraz Matejki zakleił papierem i tylko pozostawił na widoku twarze. Ale i o to już mniejsza, gdyby się przynajmniej zbadać postarano, co te twarze mówią; lecz zamiast tego powytykano mi tylko, że tam ucho jest krzywe, tam nos koszlawy, a stąd wyprowadzono, że autor nic nie wie, że jest wstecznikiem, i że jego książka nigdyby światła dziennego nie była ujrzała, gdyby nie zachęta ze strony Kasy Mianowskiego (sic). Niewiem, czy się to godzi, ale zastanawiając się nad tem, w jakiem mnie postawiono świetle, przychodzę do przekonania, iż mi wypada wystąpić we własnej obronie, a ponieważ p. Dawid w artykule swoim „Psychogeneza,“ umieszczonym w *Prawdzie* (nr. 9 i 10), sam tylko jeden rozpoznał rzeczywisty zakrój mej pracy i uwzględnił moje filozoficzne stanowisko, którego inni krytycy nawet się nie domyślali, sądzę przeto, że się z nim poważnie rozprawić mogę i śmiem się spodziewać, że w tym celu redakcya *Prawdy* miejsca mi nie odmówi w swoich kolumnach.

Przedewszystkiem nie będzie od rzeczy nadmienić, w jakim celu moją napisałem książkę. Otóż przed dwudziestu laty wydałem dwu tomowe dzieło popularnej treści *O fantazyjnych objawach zmysłowych*, które jakkolwiek nie mogło zadowolnić wyższych filozoficznych wymagań, pozostało dotąd poczytnem i ten wpływ wywarło, iż sprostowało wiele zakorzenionych fałszów w pojęciach naszego ogółu i podkopało wiele guseł i zabobonów. Obecnie więc, zachęcony tym rezultatem, napisałem drugie takie samo dzieło, z tym samym popularnym zakrojem, w którem zamierzyłem sobie przeprowadzić dwie myśli: naprzód, że nie wszystko daje się przez samą tylko siłę i materyę objaśnić w wszechświecie, a powtóre, że nietylko człowiek ma duszę, lecz że ją mają wszystkie żyjące stworzenia, i że ich umysłowe przejawy do coraz wyższej dochodzą doskonałości w miarę stopniowego postępu ich organizacyi cielesnej. Pierwsza z tych myśli zwracała się przeciw krańcowemu materyalizmowi, wielce u nas rozwielmożnionemu od czasu Büchnera i Moleschotta, a druga przeciw deizmowi. Zabierając stanowisko monistyczne, pośrednie, spodziewałem się ostrych zarzutów z obu skrzydeł; a tymczasem pozostawiono mnie w spokoju, nie domyślano się nawet, na czem się opieram i czepiono się tylko podrzędnych szczegółów.

Wszakże najpobieżniejsze nawet, byle nieco uważne przeczytanie mej książki dowodzi jasno, iż nie mogą leżyć w jej celu wyższo-naukowe dążności, boć przecież nie pisze się poważnego naukowego dzieła z powieściową przedmową, nie kryje się swojego zdania pod alegoryę, nie dowodzi się oklepanych rzeczy w wyższych naukowych sferach, nie traktuje się poważnych rzeczy potocznie, nie rzuca się od niechcenia twierdzeń na domysł czytelnika, i, naostatek, nie zastrzega się w końcu przeciw podejrzeniu, że się hołduje ateizmowi. Wszakże to wszystko aż nadto było przezroczyste i nie było potrzeby koniecznie kropki nad *i* położyć, ażeby czytający jedynkę od litery rozróżnił.

Nikt pewnie nie zaprzeczy, żebym był zupełnie z mojem minął się zadaniem, gdybym przed obszerną swoją publicznością w obronie moich twierdzeń wystąpił z dogmatycznym traktatem. Osnułem go więc na tle przyrodniczem, ułożyłem przyrodnicze fakty w odpowiednie grupy, wyjąłem je z codziennego życia, wyłożyłem jaknajdostępniej i starałem się o to, ażeby twierdzenia moje same poniekąd wyszły z mego ugrupowania i wiedzy, bo publiczność nie lubi, gdy ją kto po mentorsku uczy, a zachwyca się przeciwnie, gdy sobie coś sama odgadnie. Rzecz naturalna, że w wykładzie moim musiałem się rachować z jej przeciętnem wykształceniem, tłomaczyć się jej językiem, unikać pedantyzmu i szkolarskiej szorstkości, a mianowicie, mając ciągle moje zadanie na oku, nie mogłem błądzić na ubocznych tematach, bo kto od razu chce wypowiedzieć za wiele, ten najczęściej nie powie nic wcale. Musiałem przeto dopuścić się nie jednej zdrożności wobec filozoficznej ścisłości, ale pocieszę się z chęcią, jeżeli mi się uda tak samo wyjść na tem, jak wyszedłem na moich *Fantazyjnych objawach zmysłowych*. Nie pisałem dla nauki, gdyż ta mając tysiące pracowników na swej obszernej niwie, bez mojej obejdzie się pomocy, ale pisałem dla mas, w nadziei, że może moje usiłowanie chociaż na odrobinę poziom naszego ogólnego wykształcenia podniesie. Umieć coś zrobić nie dość dobrze, mówi p. Dawid, lepiej jest nierównie, jak nie robić nic wcale; wziąłem się więc do pióra i jak mogłem zrobiłem.

Określiwszy moje dążności i moje stanowisko, przechodzę teraz do zarzutów p. Dawida. Na początku mojej książki umieściłem bardzo widocznie godło następujące: *W materyi tkwi twórczość i siła działająca z własnych pobudek, z niej powstają samodzielnie twory, a świat jest jej rozwojem.* Przedstawiłem się zatem bez ogródki jako *monista* memu czytelnikowi, a wstęp do artykułu p. D. dowodzi mi jasno, że obaj należymy do jednego obozu. Pomimo tego jednakże przekonałem się niebawem, że p. D. przechyla się bardzo wyraźnie ku bezwzględnemu materyalizmowi, i że jego monizm nie sięga bynajmniej do gruntu. Przyjmuje on razem ze mną, że duch, materya i siła, stanowią *jedność*, przyjmuje *atom oduchowniony*, ale z całego tego oduchownienia robi jedynie użytek na korzyść psychicznych w przyrodzie przejawów. Dla przyrodnika to nie wystarcza, a jego oduchownienie, jeżeli je uznajo, sięga głębiej nierównie, gdyż dla niego organiczne kształty równie są zagadkowymi jak uczucie, wola i myślenie, a ich powstawania oraz ich ustalenia się w przyrodzie w żaden sposób z przypadkowego spotkania się atomów w przestrzeni wysnuć sobie nie może. Co przypadek stworzył, to drugi znów przypadek niszczy, jeżeli więc przypadki mają stale następować po sobie, uzupełniać się, systematyzować i stale dawać wyniki, jeżeli mają zamieniać się *w prawa*, to już nie wystarczają na to samo atomowe ruchy. Trzeba nam tu bezwzględnie uznać jakiś pierwotny *rozum*, a wtedy dopiero z niego wyprowadzić da się *konieczność* i wtedy już nie będzie przypadku, ale wszystko stanie się *musem*. Ale też w tym razie znowu, ów przymus oraz i całe jego logiczne znaczenie stanie się owym starożytnem *fatum*, owym bogiem po nad bogami, z którego wszelki porządek w przyrodzie wynika.

Otóż i każda na świecie pojedyncza istota ma także swoje *fatum*, to jest, swoje prawodawstwo specyalne, ogólną koniecznością wszechbytu jej przepisane, które jej rodzaj istnienia i rodzaj działania wyznacza. Takie to właśnie jej prawodawstwo, nie wdając się w bliższe jego określenie, głoską *X* oznaczyłem w mej książce, ale przemawiając do publiczności nie bardzo wdrożonej do abstrakcyjnego myślenia, musiałem je dostępniej określić, i nazwałem *osobistym czynnikiem*. Nie byłbym pewnie tego uczynił bez usprawiedliwienia się, gdybym miał zamiar pisać poważne, naukowe dzieło.

Samo przez się X moje niczego nie stworzy, ale wedle konieczności, jaka się w nim mieści, samo się wszystko wedle niego wytwarza w każdej organicznej istocie, a materyałem z którego się wytwarza jest *uduchowniona materya i siła*, czyli tak zwana substancya pierwotna (*tworzywo*). Stąd też i oduchownienie atomu, a taki atom dopiero skupiając się razem z innymi, według konieczności, wiąże się w odpowiednie cielesne kształty, za któremi idą formy dynamicznych i psychicznych przejawów.

Czem jest duchowe usposobienie atomu samo w sobie, tego niepodobna oznaczyć, ale domyślać się można, że nie jest ani czuciem jak sądzi Noiré, ani wolą podług Schoppenhauera, ani inteligencyą według ludzkiej formułki, lecz tylko jakimś umysłowym całkiem z którego dopiero w osobnikach organicznych rozwija się czucie wola i wiedza, idąc krok w krok za formą organizacyi cielesnej. Bez tej ostatniej nie ma ich nigdzie w przyrodzie, i rzeczywiście wszystko jest mechanizmem w naturze. Ale jakim mechanizmem?—oto takim który sam siebie tworzy, sam się utrzymuje, sam sobie radzi, sam się odradza, sam dla siebie wyrabia roboczą siłę, i sam z siebie wywiązuje sobie swoje umysłowe przejawy. A więc ten mechanizm zupełnie nam się inaczej przedstawia jak każdy inny ludzką głową i ręką złożony, do którego z zewnątrz musimy zapożyczyć siłę, a zapatrując się na niego wyłącznie z punktu jego kółek i dźwigni, i śledząc jego ruchy jedynie, na czem obecnie materyalizm przestaje, dopuszczamy się rażącej jednostronności. Jeżeli przyjmiemy oduchownienie materyi i siły, a przyjąć je musimy, gdyż zmysł przyczynowości nie znajduje zadowolnienia w materyalizmie czystym—to ono musi być także ogniwem w owym łańcuchu przyczyn i skutków, które rozumną formę konieczności w przyrodzie przybrały. A zresztą skądże owa konieczność wypływa, jeżeli nie z samodzielności samego tworzywa, skoro po za jego obrębem nic innego nie przyjmujemy na świecie. Oduchownienie musi przeto koniecznie przeważny brać udział w powstawaniu organicznych kształtów i dlatego też je za zasadę morfologii przyrodniczej uznałem. I otóż to tu właśnie pomiędzy p. D. a mną zdają się zachodzić różnice. Dla niego oduchownienie służy jedynie tylko do objaśnienia, jak się to dzieje, że materya czuje, pragnie i myśli w każdej organicznej istocie odpowiednio do formy jej ucieleśnienia, a dla mnie służy ono nadto do objaśnienia, dla czego każda istota kształtuje się według właściwej sobie przepisanej formy. Dla p. D. oduchownienie ma tylko psychiczne znaczenie, a dla mnie jest ono zarazem morfologicznym działaczem. Bo też rzeczywiście, jak to już rzekłem, samodzielnego powstawania organicznych kształtów, z jakimi się wiążą wszelkie organiczne działania kształtów powtarzających się stale od wieków w każdym gatunku, na zasadzie ślepej jedynie siły i bezwzględnej materyi, w żaden sposób pomyśleć sobie nie mogę. Jeśli atom niema być li tylko błędnie poruszającem się ciałem, który coś z zewnątrz dopiero do prawidłowego grupowania się popycha, to musi się samodzielnie do swego prawa odnosić, a na to nie wystarcza przecież ani jego ruch ślepy, ani jego materyalna rozciągłość w przestrzeni. Że taki atom skupia się samodzielnie z innymi w organiczne kształty, z tego skupienia powstają cielesne przyrządy, wytykające dynamicznym i psychicznym czynnościom odpowiednie kierunki, łatwo pojąć da się, a zjednoczenie formy cielesnej, ruchu, i oduchownienie w każdej organicznej cząsteczce wypłynie z samej natury tworzywa. Z istnienia tym sposobem związanego, wywiąże się *mechanizm* jako konieczność. w celu zapewnienia własnego bytu każdemu żyjątku, oraz w celu jego działania na zewnątrz, ale mechanizm ten już nie główną, decydującą, ale podrzędną i zawisłą będzie odgrywać relę.

(D. n.).

Dr. Szokalski.

W obronie krzywdy.

Wzmiankowaliśmy już ogólnikowo i bezimiennie o gorszącej i zdrożnej rozprawie między hr. J. Borkowskim a dr. Biegeleisenem, autorem studyum o *Panu Tadeuszu*, współpracowniku wielu pism warszawskich — we Lwowie. Ponieważ skandal ten przynosi same krzywdy jednej stronie a same korzyści drugiej i domaga się koniecznie publicznego sądu, podajemy więc naprzód opis faktu, nadesłany nam przez dra Biegeleisena:

Pan Jerzy hr. Borkowski wydrukował w *Dzienniku pols.* z r. 1884 nowelę „Zapóźno" obcego pióra pod własnem imieniem. Nowelę tę kupił za pośrednictwem p. J. Orłowskiego od młodego literata pana R., będącego wtedy w wielkiej biedzie. Dowodów na to dostarczy sam autor, który w sądzie zezna pod przysięgą, że on napisał tę nowelę a nie hr. Borkowski. Posiadam też własnoręczny rękopis tej noweli pióra pana R.

To nadużycie literackie było mniej więcej powszechnie znanem. Napomknąłem więc o niem w rozmowie z p. Łukaszewiczem, który przy sposobności powiedział to p. Borkowskiemu. Ten posyła do mnie p. J. Orłowskiego, owego pośrednika w kupnie noweli, który po nadaremnych naleganiach ofiaruje mi w imieniu hr. Borkowskiego 1,000 złr., abym sprawy publicznie nie podnosił. Odrzuciłem propozycyę, co potwierdzić mogą dwaj świadkowie. Gdy ten środek nie odniósł pożądanego skutku, przedstawia mię hr. Borkowski przed p. Łukaszewiczem jako kłamcę, twierdząc, że nie zna nawet pana R. i że on sam nowelę pisał na wsi. Równocześnie prawie przysyła p. Orłowskiego, który prosi mię do niego dla wyjaśnienia sprawy i pokazania dowodów, że on jest rzeczywistym autorem nowel. Poszedłem, aby przekonać hr. Borkowskiego, że nie jestem oszczercą; chciałem też wysłuchać i drugą stronę. Nie podejrzywałem w zaproszeniu złej woli i czułem się zupełnie bezpieczny pod osłoną praw gościnności. Tymczasem hr. Borkowski urządza zasadzkę. Zaprasza mię do swego pokoju na poufną rozmowę, a dowiedziawszy się o ciężkich warunkach, wśród których pracuję na polu naukowem, oświadcza gotowość ofiarowania mi pomocy materyalnej, którą miałem odrobić literacko (np. spółpracownictwem przy *Rocznikach szlachty polskiej* przez niego wydawanych). Wyzyskując moje chwilowe potknięcie się, kieruje rozmowę na nowele, wyzywająco powiada, że jako magnat o nic nie dba, tem więcej o zdanie takich, jak ja. Gdy mu na to powiedziałem, że podszywając się pod cudzą własność, kompromituje się przed światem, powstał z siedzenia, a równocześnie na dany znak z jego strony wypadli z tajnej kryjówki: dr. M. Dunin Wąsowicz docent uniwersytetu lwowskiego i dr. W. Krosiński koncypient adwokacki. Ci panowie rzucają się na mnie z najokropniejszemi obelgami, jak śmiem na pana hrabiego miotać potwarze, kiedy to on sam jest autorem nowel. Na dowód pokazują mi list p. R., który oświadcza, że nie zna nawet hr. Borkowskiego (co było prawdą, gdyż pan Borkowski dostał nowelę za pośrednictwem Orłowskiego), grożą mi więzieniem za rozsiewanie fałszywych wieści, wołają komisarza policyi, którego mi pokazują stojącego już w przedpokoju (później dopiero dowiedziałem się, że to był komisarz improwizowany). Znęcaniem się, groźbami i przestrachem pomocnicy p. hrabiego doprowadzają mnie do bezprzytomności i wymuszają piśmienne oświadczenie, że zostałem przekonany o tem, iż p. hr. Borkowski jest rzeczywistym autorem nowel, że sprawy tej nie podniosę ani piórem, ani słowem, i że miałem żądać pieniędzy za to, abym nie rozsiewał fałszywych wieści. Podpisawszy pod siłą gwałtu ten cyrograf, którego dostatecznie nie pojmowałem, padlem jak nieżywy na fotel. Naturalnie dziś oświadczam, że nowela drukowana pod imieniem hr. Borkowskiego nie jest jego pióra, że mniemane moje żądanie pieniędzy za milczenie zostało nikczemnie zmyślonem, a odnośne przyznanie z mej strony wymuszonem.

Jeszcze po dokonanym gwałcie hr. Borkowski usiłował mnie namówić do przyjęcia pieniędzy, i zamilczenia o całej sprawie. Odtrąciłem ohydną propozycyę i uciekłem z zasadzki...

Zgodziłem się naprzód na sąd honorowy i uprosiłem ze swej strony: dr. T. Rutowskiego prezesa Koła literackiego, i A. Abrahamowicza komedyopisarza, obu mi osobiście nieznanych. Hr. Borkowski wybrał ze swojej strony prof. Ćwiklińskiego i prof. Jarowicza. Na superarbitra uproszono dr. Hoszarda członka Wydziału krajowego. Gdy przyszło już do zapisu, hr. Borkowski nie chciał poddać pod sąd *siebie*, żądając, aby tylko sądzono *mnie*, on zaś, miał występować jedynie jako *świadek*. Z początku wzbraniałem się poddać takiej iście średniowiecznej procedurze, ale na drugi dzień oświadczyłem, że przyjmuję nawet taki sąd.

Strona przeciwna wszakże, widząc moją gotowość na wszystko, ucieka się do następującego sposobu: dr. Ćwikliński występuje z wnioskiem, żeby nie poruszano na sądzie dwu kwestyj: o autorstwie nowel wydanych pod imieniem J. Borkowskiego tudzież wymuszenia na mnie cyrografu. Pp. Rutowski, A. Abrahamowicz i Hoszard nie zgodzili się naturalnie na taki zapis i sąd honorowy nie przyszedł do skutku.

H. Biegeleisen.

Jakkolwiek jest to dopiero przedstawienie sprawy jednostronne, zawiera ono kilka punktów, na których oprzeć można domysł, że dr. Biegeleisen stał się ofiarą gwałtu, usiłującego ubezpieczyć swą bezkarność. Cały potrzask z mniemanym komisarzem policyi, ów charakterystyczny wniosek p. Ćwiklińskiego, który chce uwolnić od sądu swego wyborcę, niedopuszczenie nawet takiego rozpoznania sprawy — są to wypadki dlatego tylko prawdopodobne, że prawdziwe. Czyste sumienie każdego uczciwego człowieka zapytuje naturalnie: czy dr. Biegeleisen ma tak pozostać sponiewieranym bez zadośćuczynienia, a hr. Borkowski zwycięzkim bez rachunku ze swego gwałtu? Byłby to istotnie fakt bardzo smutny. Może dr. Biegeleisen niesłusznie oskarżał hr. Borkowskiego o przywłaszczenie cudzej pracy, może postępował nieprawidłowo — i tak przypuszczać wolno — ale dopóki on żąda sądu honorowego a przeciwna strona odmawia, on jest w przekonaniu ludzi uczciwych niewinnym.

Jako organ tedy opinii publicznej, obowiązany upomnieć się o krzywdę pisarza, któremu literatura polska zawdzięcza wiele prac cennych i wielu się spodziewa, żądamy, ażeby zwołany został we Lwowie z ludzi bezstronnych i prawych sąd honorowy, któryby orzekł: 1) Czy hr. Borkowski dopuścił się literackiego fałszerstwa; 2) czy wymusił gwałtem na drze Biegeleisenie piśmienne zeznanie; 3) Czy ten ostatni wymagał za milczenie zapłaty?

Jedynie wyrok, będący odpowiedzią na te pytania, zdołałby przeważyć szalę opinii na tę lub inną stronę; bez niego hr. Bor-

kowski zachowa cyrograf, ale nie uwolni się od ciężkiego zarzutu.

Ażeby zaś sprawa ta nie pozostała w gorszącem zawieszeniu, Koło literackie lwowskie powinno ją podjąć i — jeżeli hr. Borkowski uczestnictwa odmówi — zaocznie rozstrzygnąć. To jest obowiązek instytucyi dbałej o literacki honor. I doprawdy bylibyśmy zdumieni jej bezwrażliwością, gdyby ona pozwoliła temu wypadkowi przepłynąć do tej kałuży, gdzie już tyle galicyjsko-dziennikarskich skandalów utonęło.

KRONIKA BIEŻĄCA.

W Towarzystwie lekarskiem dr. Chałubiński miał obszerny wykład o cholerze. Doświadczenia osobiste w kilku epidemiach nadać musiały temu wykładowi najznakomitszego lekarza polskiego wielką wartość.

Muzyka. P. Zygmunt Noskowski wystąpił z koncertem, na którym przy współudziale pp. Barcewicza, Michałowskiego, Herza i innych, przedstawił swoje utwory.

Wystawa narodowa węgierska w Peszcie otwarta została przez cesarza w d. 2 maja. Najciekawszą jej stronę stanowi dział etnograficzny.

2783 majątków ziemskich zaległo w opłacie raty grudniowej Towarzystwa kredytowego. Cyfra ta świadczy najlepiej o smutnym stanie własności wielkiej. Najwięcej majątków zalega w guberniach płockiej, kaliskiej i warszawskiej.

Wypłatność. Pomimo iż Królestwo wnosi stosunkowo więcej podatków stałych, aniżeli Cesarstwo, niedobory roczne wynoszą tu zaledwie 8% kiedy tam 30 do 40%.

Podwyższenie opłaty. Od nowego roku szkolnego opłata za naukę w wielu zakładach naukowych w Warszawie i na prowincyi zostanie znacznie podniesioną.

Ofiary z ludzi. W gubernii wiatskiej pomiędzy wotiakami bądź to jeszcze poganami, bądź też świeżo nawróconymi istnieje zwyczaj składania krwawych ofiar. Zwykle przeznaczają w tym celu zwierzęta, ale w wyjątkowych wypadkach ludzi. Obecnie we wsi Muchtanie padł los na księdza prawosławnego, którego przypadkiem ocalił przejeżdżający przez wieś uriadnik.

Podatek dochodowy ogólny wprowadzony ma być w państwie rosyjskiem już od 13 lipca r. b.

Prasa. W Stanach Zjednoczonych wychodzi obecnie 7 pism polskich, wszystkie tygodniowe. Czesi zaś posiadają w Ameryce 17 czasopism, z tych dwa codzienne.

— *Gazeta krakowska* od 1 maja zmieniła swój tytuł i wychodzi obecnie jako *Głos polityczny.*

— Gazeta *Sowremiennyja Izwiestja* zawieszona niedawno wskutek rozporządzenia władzy, obecnie zaczęła znów wychodzić.

Literatura. Opowiadanie Prusa p. t. *Omyłka* drukują w przekładzie rosyjskim *Nowosti.*

Powieść Orzeszkowej *Na dnie sumienia* przetłomaczona została na język angielski.

Trzęsienia ziemi dosyć silne miały miejsce w Austryi, Styryi i Karyntyi, jednocześnie na Wezuwiuszu otworzył się krater, który wyrzuca wielkie masy lawy.

Próba. Znany uczony angielski John Lubbock rozpoczął doświadczenia, mające na celu nauczyć psa czytać, w sposób używany przy nauce głuchoniemych. Dotychczasowe próby wypadły bardzo pomyślnie i Lubbock ma nadzieję, że potrafi w zupełności porozumiewać się z psami.

Popioły cezara. Przy kopaniu fundamentów pod nowy budynek w Rzymie, robotnicy natrafili na wielki grób familijny, który mieścił w sobie urny z popiołami zmarłych. Kiedy władza dowiedziała się o tem odkryciu, okazało się, że robotnicy pozabierali już urny, a żona jednego z nich z popiołów następcy Galby-Luciusa Calpurniusa Pisona, zrobiła ług do bielizny.

Losy zdrajców. Z trzech t. z. świadków korony w głośnym procesie irlandzkim o zabójstwo w Phoenix-Parku, Carey został zabity, drugi Smith umarł wskutek długiej choroby, wynikłej z obawy zamordowania, a Cavanagh z tegoż powodu dostał obłąkania.

Potwór. W Hadze rozpoczął się proces trucicielki Van der Linden, która zgładziła ze świata 102 osoby dla podniesienia premij od różnych towarzystw asekuracyjnych, do których sama zapisywała swe ofiary i płaciła za nie składki. Posądzają ją również o otrucia ojca, matki i trojga własnych dzieci.

Statystyka. Londyn w 1884 r. liczył 4,019,361 ludności, t. j. więcej, aniżeli takie państwa, jak Holandya, Portugalia, Szwajcarya, nie mówiąc już o Danii, Serbii lub Grecyi.

— W Warszawie w r. ub. zawarto 3317 małżeństw najwięcej w lutym (614) najmniej w marcu (60).

Wyjątek. Wszystkie domy handlowe w Łodzi, nawet kierowane przez polaków prowadzą księgi w języku niemieckim. Istnieje wszakże jeden jedyny wyjątek.

Nauczycielki. W Warszawie znajduje się 1180 cudzoziemek nauczycielek i bonn, w tej liczbie 720 niemek, 373 francuzek, 82 angielki, 4 włoszki i jedna hiszpanka.

Literackich utworów wydano w Niemczech w r. 1884 prawie o tysiąc więcej, niż w r. 1883, bo 15,607. Pomiędzy tymi było pedagogicznych i szkokolnych 2,029, teologicznych 1,461, literackich 1,303, historycznych 807, filozoficznych 132.

Wystawa szkiców urządzona staraniem *Koła liter. art.* we Lwowie na rzecz rodziny po Redlichu przyniosła czystego zysku 184 złr. 81 ct.

Epidemia. Tyfus grasuje coraz straszliwiej w Galicyi, ostatni wykaz sanitarny zaznacza 2270 wypadków choroby.

Sprostowanie. Dzienniki poznańskie donoszą, że zmarły niedawno Karol Paszkiewicz nie był ostatnim belwederczykiem, albowiem w Oczkowicach pod Rawiczem w Wielkopolsce żyje jeszcze Walenty Nasierowski. Tak samo z oficerów b. 4-go pułku liniowego żyje jeszcze w Krakowie kapitan Dunin.

Zmarli. Aleksander Karageorgiewicz b. książe serbski, wstąpił na tron po usunięciu Miłosza Obrenowicza, przez którego w 1859 r. został znowu zrzucony.

— Marc Monnier, dziennikarz i powieściopisarz francuski.

— Dr. Gustaw Nachtigall, znany podróżnik, ostatnio konsul niemiecki w Tunisie.

Druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska Nr. 23. Дозволено Цензурою. Варшава, 25 Апрѣля 1885 г. Redaktor i Wydawca, dr. fil. **A. Świętochowski.**